PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Dziś. — POLITYKA: Kandydatury urzędowe. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Wacław Sieroszewski: Wrażenia z Białowieży (dokończenie).— ŻYCIE SPOŁECZNE: Nasza dobroczynność.— Z Galicyi, p. Cho. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Szkice antropologiczne, p. L. K. — Szkoły i wychowanie w dawnej Polsce, I, p. Z. P. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. Wł. Bukowińskiego. — Literatura angielska, p. dr. L. Winiarskiego. — Notatki literackie i artystyczne.— POEZYE: Cisza wieczorna do Stawu Smereczyńskiego, p. Władysława Sterlinga. — W dali. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

DZIŚ.

Dziś, d. 24 grudnia, stanie między nami w pomniku ten, który najbardziej opromienił naszą chwałę i którego najgoręcej ukochały nasze serca. Wcielił się w materyalną postać największy z duchów polskich, za którym potomność nie ogląda się po za siebie, lecz go widzi przed sobą. Od jego zgonu przepłynął przez życie nasze długi ciąg czasu, przetoczyły się liczne fale zmiennych nurtów, przeszły rozmaite rzesze w waśniach i starciach, a jednakże każdy nowy prąd i każdy nowy żywioł złożył mu swój hołd. I dziś imię Mickiewicza mieści się w pacierzu czci każdego Polaka. Każdy znajdzie w nim jakiś promień swego światła, jakieś drgnięcie swego serca, jakiś rys swego ideału. On jest z nas, a my wszyscy z niego — jak powiedział Krasiński.

Pomnik Mickiewicza, który dziś stanął, nie jest objawem ani naszej próżności, ani zbytku, ani rachuby, lecz widomym wyrazem głęboko i powszechnie odczutej czci narodu dla swego najgenialniejszego wieszcza i najgodniejszego przedstawiciela w chórze wielkich duchów świata. Wyrósł on nie z hojnych danin, ale z wdowich groszów. Stał się wymownym symbolem uczuć całego ogółu, które wsiąkły w każdą cząsteczkę jego granitu i brązu. Los dał nam dwóch geniuszów nieśmiertelnych i nieprzewyższonych przez geniusze ludzkości: Kopernika, który wzniósł się na szczyt wiedzy i Mickiewicza, który wzniósł się na szczyt poezyi. Pierwszy z nich miał swój pomnik w Warszawie, drugiemu postawiliśmy. Niech najdalsza potomność, patrząc na niego, doznaje tych wzruszeń, jakie nas dziś przenikają.

POLITYKA.

KANDYDATURY URZĘDOWE.

Dnia 16 b. m. Izba deputowanych Rzeczypospolitej francuskiej wydała pierwszą w dziejach Francyi nowoczesnej kondemnatę na kandydatury urzędowe. Żadna z siedmiu konstytucyj, które w tym wieku nadawały Francuzom organizacyę polityczną, ani jednem słowem nie zapobiegała wielkiemu politycznemu nadużyciu, jakiego się dopuszczał jeden po drugim prawie bez wyjątku minister spraw wewnętrznych, republikański czy monarchiczny, parlamentarny czy jak za Napoleona III, interesów absolutyzmu rządowego broniący. Przed Izbami, przed narodem i światem sumienie ministeryalne, o ile mu sama konstytucya brudzić się nie pozwalała, było zawsze czyste, legendowo-anielskie; tylko wichrzyciele niezadowoleni z kiełzna, bez którego nie byłoby wolności — szemrali zawsze na jakieś nadużycia rządowe. Za Napoleona III ministrowie obywali się bez kłamstwa, byli od poprzedników swych i następców moralniejsi: zbawca Francyi, ocalacz porządku, twórca konstytucyi z d. 14 grudnia 1852 — tak umiał wypielęgnować wolność, żeby najsłodsze miody sam z niej mógł wysysać. Rząd za niego był jednym wielkim a nienstającym kandydatem do Izby poselskiej; kandydatura rządowa miała za sobą prawowitość: ministrowie nie potrzebowali kłamać. Maluczkie popisy fałszu zastąpił jeden wielki popis cynicznego gwałtu.

Czego dopuszczały się stronnictwa wsteczne we Francyi w najnowszym okresie jej dziejów po zwaleniu Thiersa (23 maja 1873 r.) przez cały czas rządów Mac-Mahona, pomimo republikańskiej konstytucyi z d. 25 lutego 1875 r. — tego tutaj roztaczać niepodobna. Dość powiedzieć, że p. Broglie, wynalazca porządku moralnego jako zasady i siły twórczej życia politycznngo, na każde wybory uzupełniające uruchomiał armię prefektów, podprefektów, policyantów i nawet stróżów polnych — i wypuszczał ją na wszystkich moralnego porządku wrogów, tj. republikanów przeszkadzających jemu samemu i Mac-Mahonowi odbudować monarchię. Ale i po zwaleniu marszałka (1879 r.) chwast nie przestał się plenić i zagłuszał rzeczywisty konstytucyjny porządek. Grzechy ministrów, których względnie radykalnymi nazywać było, można, wydarzały się rzadziej, jak i same ich rządy; krótkotrwałość nie pozwalała im się w gruncie sumienia narodowego utrwalać. W obozie przeciwnym nikt tak długo nieczystemi praktykami się nie zabawiał i tak zacięcie kandydaturami urzędowemi nie zwalczał opozycyi, jak wyparowany dopiero w r. b. przed Brissonem, przez całe dwa lata pierwszy minister, Méline. Jego właśnie mistrzowstwo wyszło na jaw d. 16 b. m.

Deputowany Viviani tego dnia umyślną interpelacyę poświęcił wyborom w Narbonnie, a uzasadniając ją, rozsnuł całe pasmo nadużyć, jakich dopuszczczał się p. Méline wraz ze swoim ministrem spraw wewnętrznych, Barthou. Obaj ci panowie, rzecz prosta, wyparli się wszystkiego,

Ale nie uwierzono cyganowi i pociągnięto go na gałąź. Deputowany Klotz wniósł taki porządek dzienny: „Izba potępia kandydatury urzędowe i liczy na energię rządu,' że będzie umiał zjednać poszanowanie zasadzie głosowania powszechnego." Nie można było zrobić mniej; ale republikanom najumiarkowańszym, poprzesiewanym monarchistami i nacyonalistami, wydało się to *minimum* czemś niesłychanie wielkiem, zdrożnem, niedopuszczalnem: zażądali tedy prostego porządku dziennego, to znaczy pokrycia całej sprawy, zasadniczego źródła nadużyć, milczeniem. W Izbie przecież znalazła się jeszcze większość rozsądna i prawdziwie zachowawcza, jeżeli zachowaną ma być wolność: republikanie rzetelni i radykaliści odrzucili wniosek przeciwników 233 głosami przeciwko 177, a swój własny wzmocnili dodatkiem Perriera: „bez względu na to, jakie stronnictwo stoi u władzy." Był to akt uczciwości — więcej do etyki, niż do polityki należący; ale wyrażenie samo po raz pierwszy we Francyi republikańskiej i parlamentarnej stwierdza ten fakt, że życie jej polityczne spełnia się za pomocą stronnictw, przez nie, przez ich różniczkowanie się i walkę.

Jedna jeszcze uwaga. W Ameryce, w Anglii, w Szwajcaryi kandydatura urzędowa byłaby niemożliwą, bo tam wybory prowadzą same stronnictwa, a nie rząd. W Ameryce absolutnie niema nawet władzy dozorującej. W urządzeniu takiem, jakiego się dopomina czysty rozum, stałe terminy i stałe miejsca wyznaczone w konstytucyi— zastępują wszelką administracyjną działalność; każde stronnictwo urządza się samo u siebie i daje od siebie głosy. Wspólny komitet zbiera je i układa z nich ciało przedstawiennicze narodu. Niepotrzebne są wspólne kolegia wyborcze, wspólne dni wyborów, wspólne też łowy na ciemnotę lub chciwość do głosowania powołaną. Na dobrych wyborach zyska i ów parlamentaryzm, tak dziś nietylko konkretnie, ale i zasadniczo wyklinany. Oby we Francyi kandydatura rządowa była już na zawsze pogrzebaną.

Tydzień polityczny. W Austro - Węgrzech stan bez zmiany. Za Litawą wszystkie stronnictwa, nienależące do gromady rządowej t. z. liberalnych, toczą walkę z królem, z jego pierwszym ministrem, i z samą konstytucyą wspólną, aby nie dopuścić nieparlamentarnego załatwienia ugody z Przedlitawią, jedynego załatwienia, które oni sami zostawiają, na parlamentarne nie pozwalając. Niczego już teraz wiedeńskim Wolfom i Schönererom zazdrościć nie mają prawa: zupełna równość i w dzielności taktycznej, i w zasłudze dla ojczyzny. Zaciętość Kossutha jest tak wielka, że kiedy d. 20 b. m. przystąpiono wreszcie do wyboru prezesa Izby, syn niegdyś dyktatora Węgier zażądał przedewszystkiem— rozpraw nad przyczynami dymisyi Szylagyiego! Nienawiść ku Banffy'emu wzmacnia jeszcze ten niby konstytucyjny fanatyzm, a raczej zaślepienie, niewyłączające przecież świadomości, że wszystkie argumenta, używane przeciwko rdzennie konstytucyjnemu rządowi są tylko tanią, jarmarczną sofistyką, dyktowaną przez namiętność. W Wiedniu Rada państwa d. 22 b. m. rozejść się miała na wypoczynek po hałasach, które urozmaicały rzeczywistą bezczynność, prawie zupełną. Rząd przedlitawski, zarówno jak węgierski, będzie musiał przed końcem roku „złamać konstytucyę," tj. w myśl właśnie konstytucyi dla zastąpienia prawa, którego sejm dać nie chciał, wydać rozporządzenie, do którego król-cesarz już nie potrzebuje sejmu. Czesi na rachunek ułożonych dawniej 36-u punktów żądań narodowych zaczynają już otrzymywać zaliczki. Sejm praski na d. 28 b. m. zwołany, ma otrzymać odpowiedź, choć tylko półsłówkową, ale przychylną: a tu właśnie Niemcy pod tym tylko warunkiem gotowi są wstąpić do sejmu nad Wełtawą, że w mowie zagajającej nie będzie nawet wzmianki o żądaniach czeskich.

We Francyi widoki sprawiedliwości znowu się zachmurzają: Freycinet w Izbie d. 19 b. m. odpowiedział na zapytanie nacyonalisty Lasies — pełne głupstw i niegodziwości — że tajny *dossier* biura wywiadowczego min. wojny wyda sądowi kasacyjnemu w stanie usuwającym wszelkie niebezpieczeństwo narażenia stosunków zagranicznych. Jeżeli groźbę tę wykona, sąd uzna cały *dossier* za nieistniejący, a przez to i zawarte w niem wrzekome dowody winy Dreyfusa z procesu usunie. P. Vernes, dyrektor szkoły „Des hautes études" ogłasza ciekawe szczegóły o sztabie generalnym i jego aktach dyplomatycznych, potępiających Dreyfusa. Jeśli te szczegóły są prawdziwemi, nasuwają przeświadczenie o fałszywości aktów i świadomem korzystaniu z nich przez sztab generalny jakby z prawdziwych.

W Hiszpanii zaczyna się przesilenie ministeryalne. Królowa naradza się z p. Montero-Riosa.

Stany Zjednoczone zajmują Kubę, osadzając ją wojskiem.

Margrabia Salisbury miał mowę powściągającą patryotyzm nienawiści ku Francyi. Odznaczył się nim nawet p. Monson, poseł w Paryżu, na bankiecie Izby handlowej angielskiej w Paryżu, parę tygodni temu. Pogroził on Francyi, żeby się nie ważyła zaprowadzać szkół w południowym Sudanie, bo Sudan należy do Anglików.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NASZA DOBROCZYNNOŚĆ.

„Wszystkie Towarzystwa dobroczynności pod rozmaitemi zasadami po Europie rozsiane, są tem lekarstwem, które uśmierza na chwilę boleści, ale choroby nie leczy, a czasem ją nawet pogorsza." Takie zdanie wygłosił Frydoryk Skarbek jeszcze w r. 1827. Miał on na myśli tę pomoc doryweczą, miłosierdzie w ścisłem pojęciu dogmatyka-chrześcianina, nie humanisty lub altruisty w szerokim zakresie. Istotnie, na całym świecie wszelkie dawne organizacye do-

---

5)

Wacław Sieroszewski

WRAŻENIA Z BIAŁOWIEŻY.

Tak gawędził stary bez przerwy lecz jednocześnie rzucał bystre spojrzenie na drogę, na las i nic, zdało się, od nich nie było ujść wstanie. Pieńki, wyboje, kałuże w porę dostrzegał i namiętnie omijał. Po bezdrożu, wśród gęstych często drzew doskonale przeprowadzał parę koni i naszą długą brykę, które w jego rękach wiły się jak wąż.

— A to nazywa się „kozacza stajnia," bo tu obozem stojały kozaki... rzucił z niechcenia.

Była to obszerna, słoneczna halizna, na której kupkami stojące dęby tworzyły cieniste gaje. Tu nas zaskoczył deszcz. Pociemniało, błysnęło, zagrzmiało, wierzchołki drzew z szumem pochyliły się i zakołysały. Ale nawałnicy, w całem tego słowa znaczeniu, kiedy to las gnie się, jak kłosy zborza, nie było. Żałowały bardzo moje panie, że jej nie zobaczą, choć i ta ulewa dała nam się dobrze we znaki. Wkrótce wiatr ucichł, deszcz mżył drobny, perlisty jak mgła. Woźnica zatrzymał konie i wskazał biczyskiem na zasnuty dżdżem bór.

— Tu Zameczysko.

— Gdzie?

— O tu!

Nie dostrzegliśmy żadnych śladów budowli. Wzgórek porosły potężnemi drzewami na jego stokach parę jam — płytkich, wpół przykrytych bujnem zielskiem, paprocią, krzewami, tu i owdzie— grudy omszonych kamieni. A przecież miał tu stać zameczek Jagiełły. Miał tu przed Grunwaldem ten król wraz z Witoldem spędzić czas jakiś, urządzać wielkie łowy, z których zdobycz solił i spławiał po Narwi i Wiśle aż pod Płock dla wojska. Tu też schroniły się przed strasznym morem w 1426 roku dwory królewski i wielkoksiążęcy. Nic nie zostało z tych czasów. Las ciemny, smutny, zamazany deszczem szumiał posępnie. Uderzyła nas tylko wielka moc kwiatów rzadko spotykanych w innych częściach puszczy. Marcin znalazł nawet pyszny, żółty storczyk. Daremnie jednak szukaliśmy ich więcej. Bardzo być może, że był to ostatni potomek hodowanych tu niegdyś w ogrodach pieszczonemi rączkami księżniczek.

Oglądając uważnie kupy głazów, trafiłem na ułożone z nich koncentrycznie rozety, bardzo podobne do spotykanych w Mongolii „kereksurtów." Zrobiłem więc przypuszczenie, że to są ślady jakiegoś starożytnego cmentarzyska. Później już dowiedziałem się, że w. 1830 r. próbowano rozkopywać Zameczysko, i znaleziono szkielety ludzi pogańskim pogrzebanych obyczajem z glinianemi naczyniami pod głową. Epoki wykopaliska nie określono. Może to byli jacyś krajowcy przedsłowiańscy, a może jadźwingowie, którzy w Białowieskiej puszczy mieli ostatnie swoje kryjówki i robili stąd po Narwi i jej dopływach napady na Mazowsze. Aż w 1287 roku zniecierpliwieni książęta mazowieccy dotarli do samych ich gniazd, mężczyzn wycięli w pień a kobiety i dzieci uprowadzili w niewolę. Lud bitny, dziki, wytrwały, postrach sąsiadów, zniknął bez śladu, jak pewnie niezadługo zginie żubr, jak wyniszczał cis i modrzew w naszym kraju. Został tylko słaby ślad jatwiezkich branek w odmiennym kształcie mazurskiej czaszki; w zaciętości i burzliwym, namiętnym temperamencie tego ludu; zostało kilka jatwiezkich nazwisk gór, rzek, uroczysk oraz kamienne kopce po lasach.

W miejscowości „Stara Białowież" zatrzymaliśmy się nad rzeczką Narewką pod pięknym dębem na obiad. Wzdłuż rzeczki z południa na północ ciągnęły się obszerne ukwiecone łąki; pod lasem widać było wioskę. Rozpaliliśmy na drodze ogień i zajęli gotowaniem herbaty. Stary Marcin dowodził, że tu stała niegdyś duża osada a może nawet miasto...

— Bo Zamczysko grądkami podchodziło aż nad rzeczkę. A niedaleko stąd leży „Sas," co go w bitwie ubili. Miał krzyż, ale mu zabrali. Powiadają, że okazał się według papierów poganinem...

„Góra Batorego" — ostatni nasz etap, przedstawia niedużý pagórek o płaskim szczycie. Spód jego opływa szeroka „droga królewska," a naprzeciw półkolem stoi ściana lasu. W chwili gdyśmy się wdarli

broczynnc, a u nas i w wielu krajach Europy zachodniej obecnie także — oparte są w znacznej mierze na źle zrozumianym uczynku: wspieraniu ubogiego za pomocą jałmużny. Taką właśnie pomoc miał na myśli i ganił Fryderyk Skarbek przed laty przeszło 70. Tęż pomoc znacznie później całkiem słusznie potępili humaniści nowsi, a współczesne organizacye pomocy na szerszych podstawach oparte, wypowiedziały stanowczą walkę tej ślepej rutynie.

Nasze Towarzystwo dobroczynności przez wiele lat działało przeważnie w zakresie jałmużnictwa i dlatego działalność ta była jałową. Dopiero w najnowszej dobie rozwoju tej instytucyi spostrzegamy pewien zwrot pomyślniejszy i racyonalniejszy. Stara się ona mniej być jałmużniczką, a więcej organizatorką trwałej i skutecznej pomocy pod postacią dawania wiedzy fachowej i środków pracy nędzarzom. Już ten jeden doniosły rys, rokujący lepszą i płodniejszą przyszłość, upoważnia nas do zaznaczenia dotychczasowej działalności warszawskiej instytucyi dobroczynnej. Sprawozdanie za rok 1897 zawiera garść ciekawych danych z dawnej przeszłości i lat ostatnich. Szczegóły te właśnie dają możność wypowiedzenia kilku uwag ogólnych o pracy, zadaniach i znaczeniu Towarzystwa w naszem społeczeństwie. Przedewszystkiem uderza nas rubryka zapisów na rachunek wieczysty. Ogólna ich suma za cały czas istnienia instytucyi (r. 1814—1897) wynosi 1,305,133 rb. 72¼ kop. Suma duża, ale w stosunku do 83 lat bardzo skromna. Dopiero w późniejszych latach daje się zauważyć wzrost zapisów i darowizn. Oto stosunek: od r. 1815 do 1864 (w ciągu 50 lat) zapisano 166,376 rb. 18 kop.; od r. 1865 do 1888 (24 lata) 372,815 rb. 33½ kop.; wreszcie od r. 1889 do 1897, tj. w ciągu ostatniego dziesięciolecia wpłynęło do Towarzystwa dobroczynności 765,942 rb. 24 kop. Jeżeli w takim stosunku ofiarność osób zamożnych i dostatnich wzrastać będzie nadal, to nasza instytucya filantropijna za lat dziesięć podwoi swój fundusz żelazny. Wogóle z początku widzimy skromne ofiary. Dopiero po raz pierwszy większą sumę, wnosi Józef Hryniewicz (41,619 rb. 67 kop.). Następnie znaczną podwalinę Towarzystwa daje Tekla Rapacka: 56,500 rb. (r. 1881), po niej (r. 1889) Michał Chodorowski 23,000, Ignacy Daniłłowicz 81,000, Leopold Wroczyński (r. 1891) 20,000, Leopold Kronenberg (r. 1893) 250,000. Największym zapisem obdarza Towarzystwo Ignacy Orzechowski (r. 1891): 291,514 rb.

Obok darowizn i zapisów poważną stałą podporą Towarzystwa są składki członków (po 6, 12 i 18 rb. rocznie), których obecnie jest przeszło sześciuset. W tej liczbie znajdujemy przeważnie pracowników z dziedziny naukowej, literackiej, pedagogicznej, prawnej, technicznej i drobnoprzemysłowej. Najmniej zaś figuruje tam przedsiębiorców i wielkich kapitalistów.

Następnie ważną pozycyę zajmują sumy drobne, datki jednorazowe, złożone na różne zakłady, pozostające pod opieką Towarzystwa dobroczynności. W ciągu roku 1897 ofiary te dosięgły, jak na nasze społeczeństwo ubogie, poważnej cyfry 164,265 rb. 15 kop.

Nie chcąc prześladowywać artykułu cyframi, poprzestajemy tylko na głównych, charakteryzujących działalność instytucyi w ciągu roku. Ogółem wydano 349,491 rb. 28 kop. Z czternastu działów pracy instytucyi najwięcej pochłonęły te, które posiadają charakter trwałej pomocy, tj. instytucye, dające możność pracy ludziom ubogim. Mianowicie na szwalnie i ochrony wydano 77,982 rb. 48 kop., na sieroty 64,346 rb. 66 kop. Następnie stosunkowo niewielką cyfrę wydatków pochłaniają przytułki: zakłady dla wychodzących ze szpitalów 5,680 rb. 60 kop., przytułki dla rzemieślników i robotników fabrycznych 3,101 rb. 16 kop. Natomiast znacznie więcej kosztują starcy i kalecy: 45,168 rb. 77 kop. Pokaźną cyfrę wykazują wydatki na kuchnie tanie: 58,364 rb. 43 kop. W wydziale utrzymania czytelni bezpłatnych widzimy 7,553 rb. 7 k.

Pozycya czysto jałmużnicza w stosunku do innych zajmuje niebardzo wybitne miejsce, mianowicie na wsparcia wydano 37,799 rb. 80 kop. Dowodzi to, że Towarzystwo stara się rozwijać swą działalność w sferze pomocy owocnej, tj. ułatwiania pracy zarobkowej. Oczywiście trudno żądać, ażeby jałmużna (jakkolwiek w innej postaci, niż uliczna), była zupełnie wykreślona z zadań instytucyi. Uczucie ludzkie nie pozwala na to, ażeby nędzarza prawdziwego pozostawiać na pastwę strasznej niedoli i śmierci głodowej.

Wogóle ze sprawozdania widzimy, że nasze Towarzystwo dobroczynności weszło w pomyślniejszy okres rozwoju i istnienia. Większa energia i sprawność, lepsze zrozumienie potrzeb społecznych. Widzimy to i w rachunku i w czynach. Między innemi na uznanie zasługuje działalność tak zwanego „patronatu,“ który w roku bieżącym po raz pierwszy wyzwala 16 rzemieślników, ludzi nietylko uzdolnionych fachowo, ale i stojących na wyższym poziomie umysłowym, niżeli ich koledzy w terminie różnych warsztatów prywatnych.

Badając nieustannie różne objawy ży-

---

na wzgórek, zachodzące słońce przeświecało przez ciemny, wysoki ten bór.

— Tu król Batur, kiedy polował, obozem stawał. Co?! Umiał wybrać!? Starzy ludzie powiadają, że przedtem miejsce to łyso było, widać było daleko i bór i drogę, a wkoło dołem słał się las jak woda...

Istotnie, ani drzewa, ani podłoże na pagórku nie miały charakteru odwiecznej puszczy. Wystawiam sobie, że było ładnie, gdy na jasnych jego stokach bieliły się rozbite namioty, błyszczały ognie, rycerscy ludzie w futrzanych kołpakach, w myśliwskich kaftanach wypoczywali po łowach, a dokoła słał się las „jak woda“ i pogodny dzień zamierał nad nim.

Z powrotem pojechaliśmy „królewskim“ gościńcem i zaraz niedaleko zdarzył się nam mały wypadek. Spotkaliśmy dwóch ludzi w kałamaszce. Przyjrzeli się nam uważnie i minęli w milczeniu. Marcin brwi zmarszczył, wąsy nastroszył i zaciął biczem konie.

— Co się stało?

— Ee!... Bo... nie lubię! Skrzywdził mię jeden z nich. Córkę miałem, to mi ją schapił i wywiózł gdzieś... na środek ziemi. Pisuje czasem i niby niezgorzej się ma, ale cóż, dla nas przepadła. Niby siekierą rękę odciął! Aj, panie, jak wspomnę serce palić zaczyna. A taka była dziewczyna przypodobna, przypochlebna, ślachetna, staranna... Od mieszczanów z Bielska, z Narewki i od swoich gospodarzy spokoju nie miałem, nasyłali wciąż swatów; daj i daj! A ona nie i nie!... Bo się już w tę porę zladowała z tym... Ba, gdybym ja wiedział... Ale zmiarkowałem już po czasie. Już kochali się, jak to młodzi... Tak mi żal dziewczyny, jakby mię kto nożem pchnął...

Umilkł i nie odzywał się do samego domu. Daremnie panie śpiewały piosenki, które lubił, daremnie zagadywały doń, odpowiadał krótko i twarz od nas odwracał.

Ostatni raz tego wieczoru poszliśmy pobłądzić, pożegnać się z puszczą. Wróciliśmy późno, gdy zmrok już zmieszał pnie, zakrył łuki i zagroził wcale nie wypuścić nas z lasu. Wioska spała owiana delikatną mgłą miesięcznej nocy. Gdzieniegdzie w okienkach błyskały wszakże czerwone światełka, a u jednego z naubocza stojących domków spłoszyliśmy ludzką parę. Chłopiec i dziewczyna stali za węgłem i, trzymając się za ręce, patrzyli na łany łagodnie kołyszącego się żyta. Dziewczyna widać do snu się już kładła, gdy ją wywołało pukanie, gdyż była tylko w wełniaku i białej koszuli bez fartucha, kaftana i chusty. Dostrzegłszy nas, cofnęła się, wstydliwie przytrzymując rozpuszczone po plecach włosy. Chłopak zmierzył nas błyszczącem spojrzeniem. W domu gospodarstwo czekali na nas z kolacyą.

— Jutro jedziecie i pewnie nigdy my nie wrócicie?! pytała gospodyni. — A już tak do was przywykli... Moja Wikta to i spać nie chciała. Wciąż pyta: a czy, mamo, oni jutro aby do miejsca dojadą?... A czy aby będą mieli gdzie nocować... A dlaczego, mamo, te panny po trzy na siebie wkładają spódnice... Nie dziwota—dziecko! Ja sama pierwszy raz widzę polskie kobiety... Jeździli tu panowie ale zawsze mężczyźni... Przyjeżdżajcie jeszcze, jeśli zdarzy się ochota... prosiemy!... Odwieźć nas na stacyę zgodziliśmy znowu Marcina. Po drodze do Hajnówki zatrzymaliśmy się obejrzeć kapliczkę, gdzie ukazał się u źródła cudowny obraz Matki Boskiej.

— Co tu przedtem było kijów, kulów, różnych rzeczy zostawianych dla pamięci... prawił Marcin. — Teraz siła zmalała, wody ubyło. Tylko zostało, co muchów i komarów tu jak i przedtem nie bywa.

Dokoła bagnistego źródełka rósł ciemny świerkowy gaj. Z drogi dostać się doń można po kładce z okrąglaków! Nad samem źródełkiem postawiony był prosty drewniany daszek z balustradą w około. Na drzewach, krzewach i ziemi — wszędzie leżało dużo barwnych szmatek — ubogie wota pobożnych. Inne pewnie zostały schowane do drewnianej cerkiewki. Pod daszkiem mieścił się postument dla cudownego obrazu i parę niezdarnie malowanych ikon.

W parę godzin potem wsiedliśmy do wagonu. Marcin do końca stał we drzwiach stacyi i patrzał na nas przyjaźnie. Pociąg ruszył i, coraz szybciej, coraz dalej, pomknął od lasów w szczere, jasne pola. Cofnęliśmy się w głąb, by usiąść na ławce, przymknąć oczy i rozważyć, rozpamiętać śliczną, zieloną wizyę tych kilku dni.

Świack 1 sierpnia 1898 r.

cia społecznego, spostrzegamy niejednokrotnie znamienne zjawisko: instytucye, posiadające dość szeroki zakres działalności, wskazanej w ustawach, bywają na przemian to martwe, to żywe. Raz pojmują wybornie potrzeby ogółu i zadania swoje, to znowu wpadają w jakiś stan kataleptyczny, który społeczeństwu nie pozwala z nich korzystać. Po baczniejszem przyjrzeniu się tym objawom szczególnym znajdujemy ich przyczynę — w wykonawcach. Przepisy, choćby w najszerszych granicach, zawsze będą martwe, jeżeli do ich wykonania nie wezmą się ludzie dzielni, którzy wybornie poznają rdzenne potrzeby społeczne i nawskróś znają swoje społeczeństwo tudzież warunki jego bytu. Takich ludzi nieraz bywa brak w różnych instytucyach, ale nie brak ich śród ogółu. Należy tylko umiejętnie szukać i trafnie wybierać.

Okres kataleptyczny, skutkiem niewłaściwego kierownictwa przechodziło również niedawno nasze Towarzystwo dobroczynności. Chwila krytyczna, niebezpieczna minęła i oto widzimy ster w dzielnych, energicznych rękach, które zapewne potrafią w całej rozciągłości wyzyskać przepisy, otrząsnąć je z kurzu i wprowadzić w życie. Mamy tedy nadzieję, że nasze Towarzystwo dobroczynności będzie nadal działało nie w zakresie jałmużnictwa, lecz stałej pomocy, ułatwiającej uzdolnienie fachowe, zdobycie pracy i wytworzenie dla niej nowych pól. Tem bardziej pragnienie to chcielibyśmy widzieć w życiu, że dobroczynność zorganizowana coraz szerzej się rozwija nietylko w Warszawie, ale i na prowincyi. Między innemi działalność ta zasługuje na uwagę w w Łodzi i Lublinie.

Dla nas wzorem powinna być Ameryka, gdzie po za działalnością dobroczynną jednostek prywatnych i duchowieństwa rozwinęła się inna, znacznie szersza. Przed paru laty w New-Yorku zawiązało się „Towarzystwo zwalczania nędzy“ („Anti poverty Society“) pod kierunkiem dr. Mac-Glinna. Celem tej instytucyi jest przygotowanie opinii publicznej sposobem pokojowym i legalnym do uświadomienia, iż wszelkie środki istnienia ludzkiego powinny być przystępne dla wszystkich. Po za tem utworzone r. 1882 „Towarzystwo organizacyi dobroczynności“ rozpostarło swoją działalność szeroko. Dziś już istnieje 60 tych instytucyj w tyluż miastach Unii, liczących ogółem 8 milionów mieszkańców. Dwadzieścia towarzystw w ciągu r. 1887 zaznaczyło swoją działalność w ten sposób, iż uwolniwszy od zależności miłosierdzia 3,342 osoby, dały im możność stałego, samodzielnego zarobkowania. Cała machinerya dobroczynna w Ameryce stara się odrzucać wzory rutyny europejskiej, u iść, o ile można, samodzielnie i za pomocą praktyki wydoskonalać swą sprężystość. Główną myślą zorganizowanej tam filantropii jest: podnosić upadłych, wcielać wydziedziczonych do gromady społecznej za pomocą ułatwienia im zarobków, wyrabiać hart w tych, których ubezwładniła szerzej płynąca fala szczęśliwszych, rozbudzać poczucie godności w tych, którzy ją utracili w nędzy i poniewierce. Niech takiemi drogami pójdzie nasza dobroczynność, a niewątpliwie straci ona z czasem swój charakter miłosierny, przebierze zaś bardziej społeczny.

Z GALICYI.

Kilka słów o gimnazyum i z powodu gimnazyum w Przemyślu.

Niedawno urządzone we Lwowie t. z. „ankietę“ szkolną zebraną nietylko z ludzi fachowych, ale także mniej lub więcej wybitnych, których powołano do wzięcia udziału w naradach nad potrzebą reformy szkół średnich. Ankieta w rozprawach swoich, jak wiadomo, nie wyszła dalej po za pytanie: czy greka i łacina są potrzebne, w jakim stopniu, a jeżeli już mają pozostać, o ile je należy ograniczyć. Pisząc krótko o tej sprawie, zrobiłem uwagę, że dla przyszłości naszych dzieci byłoby rzeczą daleko donioślejszą zastanowić się—nieurzędownie, niestety! — nad moralnym i narodowym charakterem szkoły średniej, gdyż pod tym względem posiada ona duże braki. Przenika do niej z jednej strony biurokratyzm, ten rak prawdziwy, toczący Austryę, a z drugiej polityka stańczykowska z jej rozmaitymi wybrykami. My, rodzice, pragniemy dla dzieci naszych nauki dobrej, przewodników spokojnych, łagodnych, wyrozumiałych, pedagogów zdolnych, a na politykę czasu będzie dosyć i potem.

Brzydki duch, panujący często w szkole, o ile nie jest paraliżowany rozumnym kierunkiem dyrektora, wytwarza śród młodzieży obojętność, wyrabia barwę kosmopolityczną i dąży nie do tego, ażeby wykształcić dzielnych ludzi, lecz dzielne i posłuszne narzędzia dla polityki galicyjskich oligarchów. Jakie kwiatki hodują się na tym gruncie, wiemy już wszyscy, bo słyszymy tych wychowańców przemawiających publicznie w sposób równie podły, jak zuchwały, paradujących po ulicach w burszowskich czapeczkach i wstęgach; widzimy młodzieńców na urzędach, wyciskających krew z własnego społeczeństwa. Orderomania stała się rodzajem choroby u nas. O jednym z profesorów lwowskich powiadają, że przypiął sobie order nawet do szlafroka i przygląda się w zwierciadle sam sobie, ażeby zobaczyć, jaki to efekt sprawiać będzie — na sali.

Jacy przewodnicy, taka młodzież. Widzimy tych, którzy wypływają na wierzch z mętnej fali życia, ażeby błyszczeć światłem spróchniałego drzewa, a głuche milczenie i żal kolegów otacza aureolą serdecznych wspomnień biedaków, złamanych brutalną ręką jakiegoś pedagoga z pod ciemnej gwiazdy, wysługującego się swoim dobrodziejom. I takich ofiar nie brak w kronikach szkolnych, a co smutniejsza — liczba ich zwiększa się coraz bardziej i woła donośnym głosem: zreformujcie ducha panującego w szkole, ażeby on nie plugawił młodych serc; usuńcie brytanów, którzy zagryzają nasze dzieci; wybierając przewodników dla młodzieży; nie liczcie się z wielkością rangi, ale z wielkością serca i duszy; przestańcie protegować przyjaciół, którzy, słusznie czy nie słusznie, zasłaniając się cudzemi plecami, występują nie w roli pedagogów, lecz feldfebló w austryackich. Tego rodzice mają prawo domagać się.

Smutne te myśli i uwagi nasunęły mi się z powodu wypadku, jaki niedawno zdarzył się w gimnazyum w Przemyślu. Jedno tylko pismo, *Kuryer lwowski*, miało odwagę napisać o nim, inne przemilczały, ale cały Przemyśl mówi. Jest to samobójstwo ucznia gimnazyalnego, Żupnika, z powodu prześladowania go przez dyrektora Piątkiewicza i niektórych profesorów. Fakt ten tak niezwykły, tak charakterystyczny, że niepodobna go pominąć milczeniem. Żupnik miał wady, które może nie podobały się estetycznie wykształconym profesorom: był bardzo wysoki i bardzo brzydki. Chodził z pochyloną trochę głową, w okularach, niezgrabnie, ale miał dobry i łagodny wyraz twarzy. Powiadają o nim, że był chłopcem rozgarniętym, a chociaż zdolności wybitnych nie posiadał, odznaczał się chęcią do nauki, zbierał książki, czytał chętnie i w chwili zgonu posiadał bibliotekę, złożoną z kilkuset tomów. Nie wiem, czy wielu z profesorów w Przemyślu mogłoby się pochlubić podobną zbrodnią. To zamiłowanie do książek i pracy wywyższało go nad zwykły, przeciętny poziom umysłowy uczniów. Uczynność koleżeńska i wysokie poczucie sprawiedliwości jednały mu dużo osób życzliwych, nawet po za szkołą. Takie niezwykłe przymioty moralne, które pozostawiły śród kolegów i znajomych Żupnika najżyczliwszą pamięć, nie znalazły wszakże uznania ani u dyrektora, ani, na szczęście, niektórych tylko nauczycieli. Zdolności posiadał mierne, ale dużą pracowitość, pilność i chęć do nauki, któremi łamał trudności, jakie mu przyroda w drodze do zdobycia wiedzy postawiła. Gdy siostra przyszła raz do szkoły dowiedzieć się o postępach brata, profesor R. miał odpowiedzieć: „On w każdym razie dostanie dwójkę. A zresztą, proszę pani, co tam nauka! Szkoła nie na to jest, aby nauczać, ale i uszlachetniać. A jego profesorowie nie lubią; on taki wielki (wysoki), tak go wszędzie widać; niech go lepiej pani zabierze ze szkoły.“

Nie wiem, ile w tem prawdy, nie wiem, jak ów dostojny filozof rozumiał „uszlachetnianie“ i na czem według jego mniemania miało ono polegać: sprawę tę wyjaśni śledztwo dyscyplinarne, a może inne także, ale ze słów tych wieje niewątpliwie duch najwyższego Bogdyhana, posiadającego swój tron i siedzibę w gmachu I-go gimnazyum w Przemyślu. Że tak jest, dowodzi tego rola, jaką sam on w tym bolesnym dramacie rodzinnym odegrał. Ale o tem później nieco.

Nieszczęście chciało, że Żupnik miał poprawkę z języka polskiego. Jaką rolę odgrywały przy egzaminie względy estetyczne, trudno orzec, szorstkość jednak, nietakt i oschłość serca, właściwsza handlełosom nauki, niż pedagogom, stała się czynnikiem moralnym, który silnie wstrząsnął świeżą i wrażliwą duszą młodzieńca. Odczuł on doznane poniżenie, gdyż równocześnie ze świadectwem egzaminu dano mu także świadectwo odejścia. Oczywiście, tym pedagogom stańczykowskim przez myśl zapewne nie przeszło, że w szkole oni są nietylko urzędnikami austryackimi, lecz zastępcami rodziców, a więc byli obowiązani do łagodnej wyrozumiałości raczej, niż kary, zwłaszcza tam, gdzie winy nie było rozmyślnej. Zamiast podtrzymywać energię i wolę w młodzieńcu, oni woleli ją podkopywać i łamać, zatruwając ją ustawicznie trucizną swego formalizmu. Tu już nie chodzi o jednego Żupnika, który to wybryki samowoli quasi-pedagogicznej życiem przypłacił, lecz o system panujący w szkole.

Idźmy dalej. Świadectwo odejścia równało zię przerwaniu „nauki.“ Był to chłopiec rodziców niezamożnych, którzy nie mieli środków na to, ażeby z pod tak barbaryńskiego kierunku dziecko swoje usunąć — znam wszakże takich, którzy uciekli z Przemyśla przed szkołą i dyrektorem, ratując siebie i dzieci od nieszczęścia. Uciec — to znaczyło mieć środki utrzymania w innem mieście, a rodzice Żupnika środków takich nie posiadali. I oto otworzyła się nagle w młodem życiu przepaść, przed którą nie można się było co-

fnąć. Łatwo sobie wyobrazić rozpacz człowieka, pragnącego nauki, dążącego do niej z całą energią, który widział w tej nauce całą przyszłość swoją, gdy mu powiadają: nie możesz iść dalej, bo jesteś brzydki. Każdy uczciwy człowiek łatwo byłby przewidział zakończenie tej walki i jej motywy psychologiczne. Dyrektor nie dostrzegł, chociaż obowiązkiem jego było złagodzić surowy wyrok lub znaleźć drogę spokojniejszego załatwienia całej sprawy. A jakże sobie postąpił p. Piątkiewicz? Tak, jak postępuje zwykle ze wszystkimi: z całą brutalnością człowieka źle wychowanego, pospolitego urzędnika, występującego w roli maszyny piekielnej, nakręconej w Radzie szkolnej, człowieka, pozbawionego zmysłu moralnego i tej miękkości uczuć, jaka musi być niezbędną właściwością każdego pedagoga. Gdy ojciec poszedł do niego, aby się dowiedzieć, za co syn jego ukarany — otrzymał odpowiedź, że nie popełnił nic złego. Naciśnięty o bliższe powody, odpowiedział, że „nie potrzebuje się tłomaczyć.“ Gdy ojciec prosił o złagodzenie wyroku, mówiąc, że syn życie sobie odbierze, gdyż z tem dał się już słyszeć, Piątkiewicz zamknął mu przed nosem drzwi i za całą odpowiedź powiedział: „padam do nóg.“

Miałem sposobność zarówno od kolegów p. Piątkiewicza w szkole, jak i od wielu rodziców, których los nie mógł gorzej ukarać, jak oddać ich dzieci pod kierunek i opiekę tego rodzaju pedagogów, słyszeć skargi na absolutne rządy i brutalność tego pana. Ludzie bardzo poważni i powszechnie szanowani mówili, że rodzice niejednokrotnie już byliby podali zbiorową skargę na dyrekcyę do Rady szkolnej lub ministeryum, gdyby nie pewność, że skarga nie zostanie uwzględnioną, a dzieci swoje narażą w ten sposób na najgorsze prześladowania. Motywy tego tkwiły w tem, że ów pedagog austryackiej fabrykacyi chwali się publicznie, że jest na *du* z Bobrzyńskim, jest jego kolegą szkolnym, a w dodatku ma jeszcze poparcie inspektora Rady szkolnej dla miasta Przemyśla, który pod względem siły i umiejętności nadymania się jest co najmniej równy p. Piątkiewiczowi.

Niewątpliwie, jest to nadużywanie nazwiska p. Bobrzyńskiego, gdyż jakkolwiek trudno się godzić na jego system i politykę szkolną, to jednak niepodobna nie uznać w nim głębokiej nauki, prawości charakteru, nawet najlepszych chęci. Można mieć przeto nadzieję, że sprawa ta tak odważnie zainicyowana przez *Kuryer lwowski*, będzie rozpatrzoną należycie, a ojciec nieszczęśliwego młodzieńca zapozwie niezawodnie tego prowincyonalnego Bogdychana przed kratki sądów. Wówczas dopiero wyjaśni się niejedna tajemnica t. zw. porządków szkolnych.

Zanim to się stanie, niech Rada szkolna koniecznie usunie koszarowy duch, panujący w gimnazyum przemyślskiem, do którego upoważnia brutalność i bezkarność dyrektora. On, zamiast prowadzić pedagogicznie młodzież, zajmuje się hodowlą papug i psów; jego faworyt przewraca dzieci na dziedzińcu szkolnym, rwie mundury ku zadowoleniu mistrza, niezdającego sobie sprawy z tego, że przestrach dziecka może być nieszczęściem jego całego życia. Jeden z profesorów, zapatrzony w bezkarność głównego kierownika szkoły, co dnia powtarza uczniom maksymę pedagogiczną: „gdyby tak stać za tobą i za każdą omyłkę w kark trzasnąć, to byś śpiewał jak słowik!“

Daleki jestem od tego, ażebym o podobną brutalność posądzał całe nauczycielstwo w Galicyi, a nawet współpracowników i kolegów, mającego Herostratową sławę dyrektora Piątkiewicza. Wiem wszakże od ludzi, którzy tajemnicę szkoły przemyślskiej znają, że co innego porządek na papierze, a co innego w rzeczywistości, surowość zaś w obchodzeniu się z kolegami i uczniami — to jeszcze nie rozum, nie takt i nie zasługa, bo tyle lada kaprał potrafi. Ci, którzy uwagi moje czytać będą, których fakty opowiedziane tak samo napoją goryczą i zasmucą, jak mnie zasmuciły, zrozumieją może wówczas, że piszę o tem w imię obowiązku. Istnienie p. Piątkiewicza i jemu podobnych figur ani odrobinę więcej mię nie interesuje, niż istnienie zielonej papugi, ale głęboko mnie obchodzą fakty, które przytoczyłem. Jeżeli wychowawcy naszych dzieci mają je zamiast uczyć — prześladować, zamiast zachęcać—rozgoryczać, zamiast ułatwiać — utrudniać naukę, zamiast uzbroić do życia — przedwcześnie życia pozbawiać, to wówczas zadanie szkoły chybia celu. Rozumie się, Piątkiewicze w każdej gałęzi pracy publicznej być muszą, jeśli się przeto w szkolnictwo trafią, trzeba ich przeznaczać na dozorców więzienia, gdzie surowość ich będzie niewątpliwie lepiej zastosowaną, niż w pedagogii.

Opisując ten smutny wypadek, spełniam tylko obowiązek publicysty, obyż inni spełnili także swoją powinność, a złe da się poprawić z łatwością.

Cho.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Tanie arcydzieła.

Od jednego z literatów krakowkich otrzymaliśmy do odpowiedzi następujące pytanie: „Czy jakikolwiek konkurs artystyczny może od ubiegających się wymagać dzieła *skończenie doskonałego?*“

Rzeczywiście, ostatnie to żądanie, wyrażone w tej lub innej formie, powtarza się bardzo często w wyrokach sądów konkursowych, odmawiających pierwszej nagrody, która zwykle zostaje zachowana do drugiego turnieju. Wyznajemy, że każdy podobny wypadek przypomina nam anegdotę o pewnym skąpcu, który przed obiadem z odgrzewanej i skwaśniałej kartoflanki stawiał kieliszek wódki i mówił do siebie: kto zje zupkę, wypije wódkę; a gdy zjadł zupkę, dodawał: kiedy ci smakowała, to schowamy wódeczkę na jutro. Taką samą przynętą bywają pierwsze, zwykle wysokie nagrody, których nikt nie dostaje. Każdy konkurs powinien być ogłaszany wtedy tylko, kiedy jego twórcy mają przekonanie, że wywołują do uczestniczenia w nim siły wartościowe. Inaczej tego rodzaju próby nie miałyby sensu. Nikomu np. u nas nie przyszłaby do głowy myśl urządzenia konkursu na model najszybszego okrętu. Jeżeli tedy otwieramy turniej możliwy, to musimy go rozstrzygać w zakresie uzdolnień wykazanych, a nie wymarzonych. Więc: przyznajemy nagrodę temu, który dowiódł wyższości nad innymi, a nie temu, który spełnił nasze idealne życzenia. Napisać dzieło „doskonałe,“ to znaczy stworzyć arcydzieło. Dokonać takiej sztuki na komendę, chociażby pod urokiem zawieszonego wysoko woreczka z kilkoma setkami lub nawet tysiącami rubli — trudno. Gdyby zaś to było łatwem, to każde społeczeństwo mogłoby w bardzo tani sposób zaopatrywać się w arcydzieła: wyznaczyłoby corocznie 5 lub 10 tysięcy rubli i miałoby 5 lub 10 „utworów skończenie doskonałych.“ I któreżby odmówiło sobie tak niezbytkownego a tak cennego sprawunku? A co mają począć — zapytacie— sędziowie konkursów, na które przysłano same lichoty? Nikomu nie przyznać nagrody. To rozumiemy.

Pamiętniki kłamcy.

Bismarck, który obok szatańskiej obłudy miał wybuchy zdumiewającej szczerości, sam kiedyś oświadczył publicznie, że ludzie, którzy dla niego pracują, są nieponiami. Rzeczywiście, począwszy od najniższych pismaków, a skończywszy na sławnym dr. Schwenningerze (karanym sądownie za romanse i morfinowanie kobiet na cmentarzu, dlatego przezwanym *Doctor mit der Spritze*) otaczał się on prawie wyłącznie hultajami. Był to w nim gust zrozumiały: nie czując odrazy do ułomności, miał on w takich osobnikach *mit Defecten* powolne i giętkie narzędzia. Niewątpliwie należał do nich niejaki M. Busch, który długo służył Bismarckowi za żywy telefon do rozsyłania „natchnień“ prasie krajowej i zagranicznej. Ile razy dla rozegrania jakiejś partyi politycznej potrzeba było, ażeby gdzieś wynurzyła się niespodziewanie jakaś wiadomość, prawdziwa lub zmyślona, kanclerz wołał Buscha i polecał mu wykonać ten manewr. Sługus spełniał rozkazy pana szybko i zręcznie: wsadzał swoje doniesienie otwarcie lub skrycie w dzienniki zależne i niezależne, przebierał je w najrozmaitsze formy, datował z rozmaitych miejsc świata, zbliżał do prawdy i oddalał, wtajemniczał i okłamywał redakcye. Wszystko to dziś opowiedział — jak zapewnia — szczerze. Naturalnie czy ten nałogowy łgarz nie prowadzi dalej swego rzemiosła i nie sprzedaje zmyśleń za wyznania — trudno orzec. W każdym razie jego pamiętniki są bardzo ciekawe, bo wykazują, jak wielkim demoralizatorem był Bismarck i co warto są „dobrze poinformowane źródła prasy,“ które on zatruł. Pamiętniki te — o których zapewne nasz korespondent berliński napisze szczegółowiej — zasługują na uwagę naszą jeszcze i z tego względu, że w nich jest dosyć wzmianek o Polakach, które potwierdzają nowymi dowodami, jak dalece Bismarck nas nienawidził. Jest to poniekąd zaszczytnem dla nas świadectwem, bo on nienawidził głównie ludzi uczuciowych, stawiających moralność po nad interesem, czyli — jak on nazywał — sentymentalnych. Bądź co bądź, stanowi to szczęśliwy dla historyi wypadek, że ten bandyta polityczny, zeszedłszy ze świata, pozostawił na nim swych pachołków, którzy zdradzają jego tajemnice.

Koszulki druciane.

Jeżeli wyłączymy chęć zabawienia się w „strzyżone-golone,“ to nie możemy dociec, jaki cel miał *Kuryer Warszawski* w polemice z *Kuryerem Codziennym* o koszulki druciane. Ten ostatni doniósł, że mieszkańcy obwodów Warszawy i okolic podmiejskich dla zabezpieczenia się od zbójeckich napaści zaczynają ubierać się w takie siatki, wyrabiane przez tutejszych optyków. Gdy wiadomość ta dostała się do jednego z pism berlińskich, *Warszawski* wystąpił z zaprzeczeniem, że ani owych koszulek nikt u nas nie wyrabia, ani one nie są potrzebne. *Codzienny* udowodnił mu, że p. Pik je wyrabia, a co do potrzeby? W tej kwestyi proponujemy następujące i niezawodne rozstrzygnięcie sporu: niech redakcya *Kuryera Warszawskiego* dla sprawdzenia tej potrzeby wyśle kilku reporterów wieczorem do Mokotowa, Młocin, Kamionka, na drogę Górczewską, szosę Brzeską itd.; jeżeli oni nazajutrz powrócą w koszulkach... płóciennych, to *Codzienny* nie ma racyi, a jeżeli ich przywiezie Pogotowie ratunkowe lub policya bez takichże koszulek, to on ma racyę. Z drugiej wszakże strony nie radzimy zbyt ufać

drucianym i wogóle jakimkolwiek pancerzom i za jedynie skuteczną uważalibyśmy „czapkę niewidymkę“ albo „siedmiomilowe buty.“ Szanowni bowiem rzezimieszkowie i rzezigardłowie z krańców Warszawy i jej okolic, którzy umieją łamać najmocniejsze rygle i zamki, poradziliby sobie łatwo z plecionką drucianą. A nawet Herkules w zbroi nie podołałby przemagającej sile tych bohaterów, zważywszy, że są osady i kolonie, w których na 10 mieszkańców przypada 15 złodziejów, gdyż mają oni zawsze gości. Jeżeli zaś pomimo to wszystko *Kuryer Warszawski* pyta: po co alarm?, to ze swojego stanowiska — na Krakowskiem Przedmieściu — ma słuszność być zdziwionym. Gdyby jego redakcya mieściła się na Ochocie lub Kamionku, pytałby on prawdopodobnie inaczej. Jak anatomii i fizyologii uczymy się najlepiej na chorobach własnych organów, tak samo warunki bezpieczeństwa poznajemy na własnych szkodach.

Odczyty popularne.

Druga w r. b. serya odczytów, obejmująca zagadnienia „światła i ciepła,“ zakończyła się w d. 12 b. m. W szeregu pogadanek opowiedzieli nam prelegenci pokrótce niemal wszystko, co o tych dwu czynnikach życia powiedzieć można było. Już to należy przyznać, że programy odczytów popularnych, wygłaszanych w sali Muzeum, układane są z wielką sumiennością i znajomością rzeczy. O fizycznych własnościach światła mówił p. Boguski; w dwugodzinnym wykładzie przedstawił bardzo przystępnie i zrozumiale zagadnienia optyki geometrycznej; natomiast fizycznej nie zdążył dotknąć prawie wcale. A szkoda, bo jest to temat bardzo ciekawy i bardzo mało w kołach szerszych znany; warto, aby sekcya poświęciła mu kiedyś, w związku z elektrycznością, więcej czasu. O wzroku i widzeniu opowiedział licznie zebranym słuchaczom dr. Z. Kramsztyk, o wulkanach — p. J. Morozewicz, o płomieniu — p. Znatowicz, o robaczku świętojańskim — p. Jezierski, o pracy i cieple — p. Bogucki, wreszcie — o cieple i życiu — dr. M. Flaum. Przy każdym nowym odczycie przekonywamy się coraz bardziej, że sekcya odczytowa spełnia zadania swoje z wielką umiejętnością i prawdziwie szczerem zamiłowaniem. Dowodzą tego choćiażby ulepszenia techniczne i zwiększanie liczby przyrządów dla doświadczeń, na które sekcya nie szczędzi środków. Do ostatnich należy umyślnie sprowadzony kosztowny mikroskop, dzięki któremu prelegenci mają możność pokazywania rozmaitych preparatów w świetle zwykłem i spolaryzowanem, *in natura*. Za te wszystkie usiłowania należy się sekcyi od publiczności szczera wdzięczność. Tylko prelegenci w ostatnich czasach nie zawsze dopisują; coraz bardziej i częściej, w pogoni za chwilowym efektem, zapominają o powadze słowa wiedzy. Nie chcemy przez to powiedzieć, że wykład naukowy powinien być koniecznie suchy. Owszem, należy go ożywiać, czy to udatnem porównaniem, czy szerzej sformułowanym poglądem, czy to nawet obrazem poetycznym, lecz trzeba to robić umiejętnie, jak Mach lub Tyndall. Jeszcze jedno: byłoby dobrze, gdyby niektórzy z prelegentów mniej tracili czasu na pochwały wzajemne; wszak salka odczytowa to nie „akademia nieśmiertelnych,“ gdzie każdy nowowstępujący członek obowiązany jest do publicznej apologii swego poprzednika.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Sądy H. Spencera o umysłowości pierwotnej. — Pojęcie przyczynowości istnieje w umyśle dzikiego. — Zasada przypadku i jej doniosłość w przyczynowem pojmowaniu zjawisk. — Inna zasada oddziaływania sił przyrody: podobne działa na podobne. — Wnioski ogólne.

„Człowiek pierwotny — powiada H. Spencer — nie jest w stanie dopatrzeć się, jak my, różnicy pomiędzy przyrodzonem a nieprzyrodzonem. Zupełnie tak samo, jak dziecko, nieznające istotnego biegu zjawisk, wierzy z jednakową łatwością w niemożliwo wymyśły i fakty pospolite, tak samo dziki, również pozbawiony wiedzy uklasyfikowanej i usystematyzowanej, nie odczuwa żadnej niezgodności pomiędzy jakimś niedorzecznym podawanym mu fałszem a pewną prawdą ogólną, uznawaną przez nas za ustaloną. Dla niego bowiem nie istnieje żadna taka ustalona prawda.“

H. Spencer ma słuszność tylko do pewnego stopnia. Wprawdzie w pracach podróżników czytamy niejednokrotnie, iż dziki wierzy w największe niedorzeczności, iż gotów przyjąć za dobrą monetę wszystko, cokolwiek mu opowiedzą. Lecz we wszystkich tych twierdzeniach znajduje się jedynie cząstka rzeczywistości. Wierzy on w to, co jesteśmy gotowi uważać za niedorzeczność, ale tylko wtedy, gdy ona jest w harmonii z jego przesądami i uprzedzeniami, natomiast z powątpiewaniem i nawet zupełną nieufnością będzie słuchał wyjaśnień naukowych, jeśli jego umysłowi zbywa na pierwiastkach, udostępniających zrozumienie podawanych tłomaczeń. Haggard, który podczas pewnego zaćmienia księżyca znajdował się w Lamoo, nadaremnie usiłował wybić z głowy tuziemcom ideę, że to jakieś zwierzę pożera miesiąc, i wyjaśnić im istotne źródło oglądanego zjawiska. Jeden ze słuchaczów zaprotestował przeciw jego wywodom i rzekł, że niepodobna wierzyć takim niedorzecznościom. Opowiadanie Haggarda dowodzi, że umysł pierwotny nie wszystko przyjmuje, lecz tylko to, co pasuje do jego poglądów, a raczej znanego zasobu faktów. Istnieje na tym szczeblu osobliwe pojmowanie przyrody, sprawiające, iż człowiek wierzy jedynie pewnym rzeczom, natomiast odrzuca inne, nawet racyonalniejsze. Posiada on pewne ustalone prawdy, np. że jakieś zwierzę pożera księżyc podczas zaćmienia.

Gdzie zaś istnieją ustalone prawdy, tam także można zawsze odnaleźć powiązanie zjawisk przyrody w ogniwa przyczynowe: poprzedników i następników, przyczyn i skutków. Takie łączenie objawów otaczającego nas świata w grupy jest właściwe również umysłowi najpierwotniejszemu z pośród obecnych ludów dzikich. Dokonywa on tej czynności zgodnie z pewnemi zasadami, których nie formułuje — na to trzeba innych warunków bytu i innego ukształtowania widnokręgów teoretycznych — które wszakże istnieją i poddają się rozbiorowi. Zbadać tę stronę umysłowości pierwotnej, to znaczy dotrzeć do jej najskrytszych tajników. Nie jest to przecież rzeczą łatwą. Człowiek tego okresu nie analizuje metod swego wnioskowania, ani nie systematyzuje jego zasad. Jeśli pragniemy je wyszukać, to winniśmy zwrócić się do praktyk zabobonnych, do wszelkiego rodzaju przesądów i wierzeń i poddać je odpowiedniemu rozbiorowi. Co więcej, nietylko istnieją one, ale nadto stanowią punkt wyjścia dla przyszłego postępowania naukowego, które niejednokrotnie z nich bierze początek.

Z pośród zasad i model wiązania zjawisk w ogniwa przyczynowe zastanowimy się nad parą, bo nie ośmielamy się twierdzić, ażebyśmy zdołali odszukać wszystkie.

Jeszcze dzisiaj zasada: *post hoc—propter hoc* w życiu naszem, nawet gdy bierzemy ludzi bardziej wyszkolonych teoretycznie, odgrywa dość znaczną rolę. Doniosłość jej zaś jest tem większą, im niżej będziemy spuszczali się po szczeblach rozwoju umysłowego, aż wreszcie wyrasta na pewnym poziomie na czynnik wpływowy, nadający osobliwy charakter biegowi rozumowania, a w dalszym ciągu przewidywania zjawisk. Powstaje, że tak rzekniemy, cała filozofia specyalnej przyczynowości—przyczynowości przypadku. Pewien fakt, wzięty z naszego otoczenia, przewybornie uwydatni nam działanie tej skłonności niewykształconego umysłu do wiązania poprzedników i następników w grupy przyczynowe na podstawie trafu. Jedna z moich znajomych, podówczas mała dziewczynka, dostała wyjątkowo dobry stopień z pewnego przedmiotu. Ponieważ guziczki mundurka były właśnie wtedy niezapięte, przeto przypisała swoje powodzenie tej okoliczności. Taki wniosek nie omieszkał wywrzeć wpływu na dalsze postępowanie młodocianej filozofki: odtąd ilekroć wychodziła do lekcyi, odpinała parę guziczków. Każdy z nas, mniemam, odszukałby w swojej przeszłości coś podobnego, a niejeden znalazłby może i w teraźniejszości. A tego rodzaju wnioskowanie jest właściwe nietylko rodowi ludzkiemu, bo ślady jego spostrzegamy nawet u zwierząt. Van Ende opowiada o psie, który nie chciał przejść w pobliżu pewnego domu, gdzie raz spadła na niego cegła. Zwierzę to połączyło dane miejsce z nieszczęściem, które je tam spotkało, w pewną stałą zależność. Egipcyanie podnieśli zasadę przypadku do naczelnej zasady swojej empiryi naukowej i jak my w pracowniach zapisujemy warunki doświadczenia i spostrzeżone zależności, tak samo oni postępowali z przyrodą, notując każde najpospolitsze powiązanie faktów. Usystematyzowali oni zachowanie się dziewczynki, o której wspominaliśmy. „Egipcyanie — pisze o nich Herodot — odkryli więcej prognostyków i wróżb, niż jakikolwiek inny naród, bo kiedy się zdarzy jakaś wróżba, zapisują ją, później zaś notują starannie wypadki po niej następujące. Jeśli kiedykolwiek ukaże się ta wróżba po raz drugi, to oczekują nastania podobnych wydarzeń.“ Historyk grecki nie wspomina szczegółowiej o tem, jakiego rodzaju wypadki zapisywano. Prawdopodobnie taką uwagą obdarzano nie pierwszy lepszy. Może takiem samem jest postępowanie mieszkańców Molemba, którzy, gdy po śmierci pewnego Portugalczyka zaraza wybuchła w kraju, przypisali ją temu wypadkowi i póki pamięć trwała o takiem tłomaczeniu, nie pozwalali żadnemu Europejczykowi zamieszkać w granicach swojej ziemi. Bądź co bądź, w Egipcie mamy do czynienia z bardzo naiwnym sposobem poszukiwania, a raczej pojmowania zależności pomiędzy zjawiskami. Takie zapisywanie pewnych zdarzeń poniekąd dało początek prognostykom astrologicznym i niewątpliwie było źródłem pewnych, pierwszych co do czasu, spostrzeżeń naukowych — tą drogą Egipcyanie doszli do możności przewidywania zaćmień.

Zasada przypadku raczej działa w zakresie życia prywatnego i rozstrzyga o jego czynach i zapatrywaniach, rzadko wcielając się w mody, obowiązujące wszystkich, jak to bywa z wpływami tej kategoryi, którą poniżej rozpatrzymy.

Ale istnieją takie maksymy ogólne, streszczające w sobie filozofię trafu. Murzyn, jeśli wypadnie mu w pewnem miejscu zawrócić się do domu, robi tam nogą znak w rodzaju krzyża, tj. jakby przekreśla swoje zawrócenie, i pluje na nie. Mniema, iż gdyby nie dokonał tego, spotkałoby go znowu jakieś nieszczęście w tym samym punkcie, jeśliby powtórnie tamtędy przechodził. Natomiast ta kategorya przyczynowego powiązania zjawisk, nad którą obecnie zamierzamy się zastanowić, pozostawiła bez porównania obfitsze ślady w przesądach i guslach.

Pojęcie o niej da nam przykład, zaczerpnięty z czasów niezbyt dalekich. Działo się to mianowicie w Płocku podczas srożenia się w tem mieście cholery. Starozakonni, widząc zabójczość epidemii, postanowili ją powstrzymać za pomocą środków, wskazywanych przez właściwe im pojmowanie związku pomiędzy różnemi oddziaływaniami przyrody. Wykradli nocą stawidła od jednego z podmiejskich młynów wodnych, regulujących przepływ rzeki, zakopali na kirkucie, mniemając, iż postępując w podobny sposób, przeniosą przymioty zakopanego sprzętu na życie i przegrodzą cholerze dalsze rozpowszechnianie się.

Ta zasada, że własności pewnej rzeczy lub czynności udzielać się mogą innym, powtarza się wielokrotnie na każdej stronicy książek, traktujących o wierzeniach ludów pierwotnych lub gminu ludów wyżej posuniętych. Poprzestając tylko na przesądach naszego własnego, zwłaszcza wiejskiego, moglibyśmy przykładami, stąd pochodzącymi, zapełnić całe arkusze druku. Czy weźmiemy tak rozpowszechnione na całym globie przekonanie, iż zając przebiegający naszą drogę jest zwiastunem nieszczęścia — bo naprzód przegradza nam nasze zamiary, a nadto jakby uciekał z dolą naszą; czy zatrzymamy się nad przesądami, dotyczącymi stosunku pomiędzy kwadrami księżyca a czynnościami gospodarskiemi; czy wreszcie poprzestaniemy na guśle, iż pożyczenie szpilki albo podanie soli wróży kłótnię, wszędzie, we wszystkich tych przypadkach, mamy do czynienia z wnioskami, wyprowadzonymi z takiego samego pojmowania przyrody, jak to, które skłoniło starozakonnych płockich do zakopania stawideł na cmentarzu. Dla lepszego uwydatnienia tej zasady przytoczymy parę przykładów.

Na Mazurach wierzą, że noża ostrzem do góry kłaść nie należy, bo ilekroć ktoś to zrobi, dziecko familii pokrewnej, blizko lub daleko mieszkającej, zapadnie na kurczę.

W Radomskiem mniemają, że tylko złośliwa gospodyni może zrobić dobry ocet, a przy zarabianiu jego koniecznie trzeba się kłócić. Ta sama idea tkwi w przesądzie, iż niemożna darmo dać octu lub soli, bo będzie kłótnia, albo że nie trzeba na nowe mieszkanie przenosić soli, bo życie będzie tam obfitowało w zmartwienia. Dla tej samej przyczyny lud miejski zaszywa pannie młodej kawałek cukru do ubioru weselnego.

W Toskanii, jeśli ktoś pragnie powstrzymać kochanka od bywania u dziewczyny, niechaj weźmie cztery gwoździe, zrobi z nich krzyże i włoży pod ich siedzenie. Pokłócą się wtedy na pewno i młodzieniec nie przyjdzie więcej do domu kochanki.

Przytoczyliśmy kilka przykładów, które wykazują nam poglądy pierwotne na oddziaływanie wzajemne w przyrodzie i na powiązanie zjawisk. Przedstawiliśmy dawną doniosłość zasady, że jeśli coś po czemś następuje, jest jego skutkiem, i rozszerzyliśmy tę maksymę za całą kategoryę przyczynowego połączenia zdarzeń — na filozofię przypadku, nadmieniając, iż prowadzi ona do naukowego doszukiwania się związku pomiędzy zjawiskami. Następnie wzięliśmy inną grupę rzekomych oddziaływań, mianowicie opartą na wierzeniu, iż podobne wywołuje podobne, iż przymioty użytej rzeczy będą pokrewne własności w innych rzeczach. Są to wszystko próby nadzwyczaj naiwne i pierwotne, lecz bądź co bądź próby powiązania objawów przyrody w sposób przyczynowy. Istnieją one już u najniższych szczepów rodu ludzkiego i nawet jeszcze na niższym poziomie umysłowości. Dopiero z biegiem czasu ustępują miejsca głębszemu spoglądaniu na naturę.

Socyologia etnograficzna przelała zgoła nowe światło na wszystkie strony życia społecznego. Z czasem musi także oddziałać i na wywody historyków filozofii i zniewoli ich do poszukiwania początków teoryi poznania na poziomie dzikości. Okaże się, że filozof dziki posiada swoje probierze prawdy, swoje modły związku przyczynowego, swoje zasady doświadczenia. W krótkim artykule zaledwie udało się nam wskazać możliwość tego rodzaju poszukiwań. Na zakończenie tych tak pobieżnych wywodów winniśmy nadmienić, iż umysł pierwotny wyznaje zasadę, że przyczynie musi stać się zadość i że pewne zdarzenie nieodzownie musi wywołać skutki sobie właściwe, których niepodobna zniszczyć, choć można je skierować w inną stronę.

Niechaj przykłady uwydatnią myśl naszą.

Jeśli kura zapieje, jest to, jak wiadomo, wróżbą nieszczęścia. Ażeby uchronić od niego kogoś z ludzi, trzeba kurę zarżnąć i w ten sposób — dodajmy — uczynić zadość przepowiedni, która na kimś musi się sprawdzić.

Zwyczaj wymaga, ażebyśmy podając komuś szpilkę, ukłuli go przytem. Pożyczenie szpilki sprowadza za sobą kłótnię i takie ukłucie, przedstawiające spór w miniaturze, zaspakaja istniejące w przyrodzie powiązanie poprzedników i następników.

Mamy, wobec tych faktów, najzupełniejsze prawo mówić o pierwotnej, tj. właściwej umysłowi dzikiemu, teoryi poznania i przyczynowem pojmowaniu wszechświata. Nie wątpię ani chwilę, że rozszerzenie historyi filozofii i na ten dziecięcy jeszcze okres myśli ludzkiej byłoby dla tej macierzy nauk z wielkim pożytkiem.

L. K.

SZKOŁY I WYCHOWANIE W DAWNEJ POLSCE. *)

I.

Autor zakreślił sobie bardzo szerokie zadanie: postanowił dać historyczny obraz wychowania i szkół w Polsce, z którem się wiążą ściśle inne objawy życia narodu. Zadanie niełatwe, wymagające mozolnej i długiej pracy. Duża książka, którą nam dał p. Karbowiak (339 str.), właściwie jest tylko wstępem do pracy w szerszym zakresie, stanowi bowiem prawie wyłącznie materyał obfity i bardzo ciekawy, usystematyzowany i ułożony porządnie, z podziałem na epoki i okresy, co znacznie ułatwia oryentowanie się każdemu, kto chce sobie odtworzyć dokładny obraz metod i postępu oświaty w Polsce. Graniczne daty owych epok i okresów stanowią dla autora między innemi wybitne fakty, zapowiadające zmianę starych zasad i zapasów naukowych.

Wieki średnie — to jedna epoka. Z początku, tak samo jak za granicą, edukacya średniowieczna oparła się u nas na znanych resztkach literatury rzymskiej i na Piśmie świętem. Później, w pierwszych dziesiątkach lat XIII w. na scholastycyzmie filozoficzno-teologicznym, który w Polsce panował niepodzielnie do połowy XV stulecia, a następnie ścierał się z tak zwanym humanizmem w drugiej połowie tegoż wieku. Kres wieków średnich stanowi dążność do nowych zasad. Wieki średnie w dziejach wychowania i szkół autor dzieli na cztery okresy. Pierwszy obejmuje czasy od r. 966 do 1214, kiedy to się zaszczepiły na gruncie polskim z Zachodu szkoły katedralne, klasztorne i kolegiackie, z tem samem zadaniem i z taką organizacyą. Miały one dostarczać potrzebnych Kościołowi pracowników. Stan rozwoju szkolnictwa w tym okresie nie należy do świetnych. Poziom wykształcenia kleru polskiego był bardzo niski; po wyższe na Zachód do dawnych szkół mało kto jeździł, ludzi zaś światlejszych, zajmujących wybitne miejsca w hierarchii kościelnej, dostarczała zagranica. Laicy w edukacyi szkolnej nie brali żadnego udziału, przeciwnie — uważali ją za zupełnie niepotrzebną. Wystarczała im biegłość w rzemiośle rycerskiem, uzdolnienia zaś do sprawowania pewnych urzędów dawała praktyka.

Okres drugi trwa od r. 1215 do 1363. Czwarty sobór lateraneński z r. 1215 uchwalił prawne podstawy do tworzenia nowego rodzaju szkół łacińskich, t. zw. parafialnych. W Polsce powstało ich wiele dzięki osiadłym u nas mieszczanom niemieckim. Ruch oświaty wogóle wzrósł, do szkół garnęli się laicy, zwłaszcza mieszczanie. Jednocześnie wzrosła liczba szukających nauki wyższej za granicą. W r. 1215 Innocenty III zatwierdził zakon św. Dominika, który wytworzył potężną szkołę teologiczno-filozoficzną z głośnym jej mistrzem, Tomaszem z Akwinu. Średniowieczna literatura scholastyczna powoli ze szkół usuwała pisarzów rzymskich, jako już nieprzydatnych. Obok Pisma świętego wyszła na pierwszy plan programu szkół dyalektyka z filozofią i nauki prawnicze.

Początek okresu trzeciego stanowi data założenia uniwersytetu w krakowie (r. 1364) przez króla Kazimierza Wielkiego. „Ta najwyższa szkoła, odnowiona i uzupełniona w roku 1400, pochwyciła z młodzieńczym zapałem starzejącą się już na Zachodzie oświatę scholastyczną i zgotowała jej na Wschodzie, rzec można, drugi świetny rozkwit. Jest to szczyt rozwoju edukacyi publicznej w Polsce, opartej na zasadach i zasobach średniowiecznych.“ Po tym krótkim w Polsce wysiłku scholastycznym, nastąpiła reakcya. Do wrót wszechnicy krakowskiej, tj. do ogniska scholastycyzmu, w r. 1433 zaczęła kołatać ta sama literatura łacińska, która była podwaliną wiedzy średniowiecznej, a następnie musiała jednak powoli ustąpić ze szkół częściowo literaturze średniowiecznej. „Humanizm sam sobie był celem, w służbę kościoła nie szedł, owszem, chciał błyszczeć w świecie, chciał być widzianym i pochwalonym.“ Wpływ humanizmu na nasze szkoły nie był wielki, pozostawił jednak po sobie znaczne ślady w dziejach.

Końcowy okres wieków średnich, a raczej przejściowy do nowszych czasów (epoki wychowania i szkół wojujących) stanowi czas ścierania się zasad humanitarnych z średniowiecznemi w obrębie szkoły i tam, gdzie jej wpływy sięgały. Wystąpienie Grzegorza z Sanoka z wykładami humanistycznymi w uniwersytecie krakowskim 1433 r. jest dla autora początkową datą okresu przejściowego. Odtąd we wszechnicy naszej tudzież niektórych szkołach katedralnych humanizm miał swoich przedstawicieli. Z tą datą schodzą się inne, które zwykle są uważane

*) Dr. Antoni Karbowiak: *Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich* (część I. Od 966 do 1363 roku), Petersburg. Grendyszyński r. 1898.

za początek ruchu humanitarnego. Jedną z nich jest data soboru bazylejskiego (1431—1443). „Dawne i nowe zasady zaczęły się ścierać, przekształcać pogląd na życie i jego potrzeby, na naukę, wychowanie, szkołę i ich kierunki. Walka, z początku cicha, z czasem wystąpiła w murach uniwersytetu i po za nim, z jawnem żądaniem reform w duchu nowych.“ Synod piotrkowski w r. 1510 domagał się reform we wszystkich szkołach (katedralnych, kolegialnych i parafialnych) tudzież w uniwersytecie. Data owego synodu jest krańcową okresu przejściowego, a zarazem zamknięciem epoki średniowiecznych dziejów wychowania i szkół w Polsce.

Przechodząc z tej charakterystyki ogólnej do szczegółów, musimy zaznaczyć, że autor sięga aż do czasów Mieszka I i przypuszcza, że za jego panowania w głównych ogniskach misyjnych istniały szkoły, w których młodzież polska kształciła się na kapłanów. Wniosek ten p. Karbowiak wysnuwa z faktów analogicznych w blizkich Polsce krajach. Są inne ślady, ale późniejsze, jak np. że w klasztorze przybyłych do nas z Włoch zakonników Benedykta i Jana było dwu Polaków: Izaak i Benedykt. Nie brak też wskazówek, że już za Mieszka I byli w Polsce Benedyktyni. Jeden z pierwszych zakonników, którzy krzewili wiarę między Węgrami, byli Andrzej i Benedykt, rodem Polacy. Co do wpływów obcych, szkoła saksońska w dziejach naszej edukacyi ma ważne znaczenie. Między innymi kilku jej uczniów oddało Polsce niepośledniе usługi. Pobyt św. Wojciecha w Polsce wpłynął na rozwój spraw kościelno-edukacyjnych. Z powstaniem klasztorów pomnaża się liczba zakładów naukowych. Wogóle czasy Bolesława Chrobrego są bardzo pomyślne dla rozwoju edukacyi i szkół. Podczas krótkich rządów Mieszka II powstało biskupstwo kujawskie w Kruświcy, a więc i nowa szkoła katedralna. Rządy Kazimierza Mnicha (Odnowiciela) miały bardzo wielkie znaczenie dla rozwoju edukacyi i szkół. Jego studya we Francyi wprowadziły polskę w bezpośrednie stosunki z wielkim ruchem kościelno-politycznym na Zachodzie. Wybitni ludzie coraz skwapliwiej podążają za granicę po naukę. Kształcił się tam Lambert, biskup krakowski; podobno w Paryżu czerpał wiedzę Stanisław Szczepanowski, a w Fuldzie — książę Bolesław. Za pośrednictwem tych, a może i innych nieznanych jednostek, Polska wzięła udział, acz nieznaczny, w świeżo rozwiniętym ruchu ascetyczno-naukowym na Zachodzie. Biskup Lambert II i jego następca, św. Stanisław, wykształceni za granicą w duchu nowych idei, dążąc do reformy karności i obyczajów, musieli rozpocząć pracę przedewszystkiem od reformy wychowania i szkół. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że św. Ottona ściągnął do Polski ruch kościelno-reformacyjny. Z osobą powyższego działacza związano kwestyę szkoły kuryalnej, urządzonej na dworze książąt piastowskich. Kwestya ta wyłoniła się dopiero nowszymi czasy, pod wpływem bliższych wiadomości o szkole nadwornej Merowingów i Karola Wielkiego. P. Karbowiak atoli dowodzi, że szkoły kuryalnej publicznej nie było wcale ani na dworze Bolesława Śmiałego, ani też innych Piastów.

Do stosunków cywilizacyjnych z zagranicą dopomagały nietylko interesy kościelne, lecz także węzły małżeńskie. Przez powtórne ożenienie się Bolesława Krzywoustego z Salomeą, córką Henryka, hrabi Bergu, nawiązano stosunki z Benedyktynami w Zwifalten. Po śmierci króla Salomea sprowadziła stamtąd do Polski świątlego Ottona de Sturzelingen w towarzystwie Gernoda i innego jeszcze zakonnika zwifalteńskiego. Najznakomitszym przedstawicielem stanu edukacyi i oświaty w Polsce za czasów Bolesława Krzywoustego jest Gallus. Czy był Polakiem? Kwestyi tej p. Karbowiak nie rozwiązuje. Natomiast kładzie nacisk na zeznanie naszego kronikarza, „wypowiedziane gorąco, ale bez przesady,“ że duchowieństwo polskie, z którem autor pozostaje w stosunkach literackich, odznacza się niepospolitą nauką. Kronika Gallusa jest tedy do pewnego stopnia jedną z miar działalności szkół polskich owego czasu. Jest nią i z innego powodu: „Głównem zadaniem szkół ówczesnych była nauka łaciny. Łacina autora pierwszej naszej kroniki jest owocem nauki szkolnej, opartej przeważnie na utworach rzymskich. Tem też się tłomaczy, że ją dziś jeszcze, wykształceni w łacinie na tych samych wzorach, bez trudu czytamy i rozumiemy. Jasność retoryczna i ścisłość w doborze wyrazów odpowiednich, to zasadnicze zalety stylu Gallusowego, świadczące o przewadze w szkołach ówczesnych gramatyki i retoryki nad dyalektyką.“

Pomimo podziału państwa na dzielnice, pomimo ciągłych utarczek i waśni książąt, kościół panował niepodzielnie, dawał jednolity tok i charakter sprawom wychowania i szkół. Bardzo pomyślnym okresem dla oświaty w Polsce było 20-lecie panowania Kazimierza Sprawiedliwego. Sam wykształcony, cenił on naukę i szkołę. Mistrzowi Wincentemu polecił napisać kronikę dla użytku młodzieży szkolnej.

Episkopat polski przez delegatów papieskich utrzymywał łączność z Rzymem. Dowiadywał się od nich w drodze urzędowej o zapadłych tam reformach i kierunkach edukacyjnych. Są liczne dowody, stwierdzające, że ówczesne szkoły nasze, zwłaszcza katedralne, szły z postępem czasu. Wędrówka młodzieży do szkół zagranicznych, a przedewszystkiem do Paryża, wzmogła się w drugiej połowie XIII w. wskutek ożywienia się studyów dyalektyczno - prawniczych i filozoficznych. Podobne zjawisko istniało poprzednio w Polsce XI w., gdy się wyłoniła kwestya reformy kościoła i jego stanowiska do władzy świeckiej. Autor widzi w tem dowód, że duchowieństwo polskie średniowieczne kroczyło z postępem zachodnim, „co prawda, przez nieliczne tylko osobniki.“

R. 1215, od którego się zaczyna, według podziału autora, okres drugi dziejów oświaty w Polsce, odbył się sobór lateraneński, który rozszerzył studya w szkołach katedralnych, wprowadził do nich pewien ład i porządek, dał początek i prawną podstawę do tworzenia nowej kategoryi szkół, przedtem nieistniejących: gramatykalnych łacińskich, nazwanych od kościołów parafialnych, zazwyczaj tylko miejskich — parafialnemi. Już III sobór polecił (1179 r.) ułatwiać studya młodzieży ubogiej i domagał się, aby nauka w szkołach katedralnych, a nawet klasztornych, była bezpłatna dla tych, którzy płacić nie mogą. Sobór IV przypomina tę ustawę i rozszerza ją.

Bardzo obszernie w kilku rozdziałach autor opisuje kategorye szkół, ich władze, kierownictwo, urządzenia, zadania itd. Między innemi podkreśla ten fakt, że klasztory, siłą swego przykładu, w znacznej części były praktycznemi szkołami rolnictwa, sadownictwa, pszczelnictwa, rzemiosł rozmaitych, i wielu innych, przedtem w Polsce nieznanych lub niedobrze rozumianych zajęć i wiadomości. Do szkół klasztornych przyjmowano i takich uczniów, którzy nie mieli zamiaru wstąpienia do stanu duchownego. Zwali się oni ekstraneuszami, o utrzymanie swoje sami musieli się troszczyć. Z nich to rekrutowały się zastępy młodzieży *żebrzącej*. I kapituły przyjmowały, prócz scholarzów-kanoników (z rodzin szlacheckich) także ubogą młodzież kształcącą się, do stanu duchownego. Dopuszczenie młodzieży, nienależącej do zgromadzeń klasztornych i katedralnych, pociągnęło za sobą pewne urządzenia nowe. Po klasztorach uczyli się z początku oblaci i ekstraneusze; ale gdy zwyczaj ten dla karności okazał się niekorzystnym, niektóre klasztory pozakładały dla owej młodzieży osobne szkoły po za klauzurą (zewnętrzne). Miały one niekiedy osobnego kierownika. I przy kapitułach naśladowano ten zwyczaj, ale w czasach dawniejszych, dopóki się utrzymywało wspólne życie kanoników. W miarę mnożenia się szkół duchownych świeckich, upadały wewnętrzne klasztorne, a katedralne zewnętrzne, po upadku życia wspólnego kanoników, zlały się w jedną całość z zewnętrznemi.

Z. P.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE POWIEŚCI GRUSZECKIEGO.

Artur Gruszecki: *Krety*, powieść współczesna; *Hutnik*, powieść współcz.; *W starym dworze*, powieść.

II.

Śmierć i kalectwo pojedynczych górników, straszne katastrofy żywiołowe w czeluściach kopalni, grożące zgubą całym gromadom ludzkim, niewesoły stosunek wzajemny zwierzchności i podwładnych, oparty na odwiecznej zasadzie *homo homini lupus*, smutne wreszcie przygnębiające nawet zakończenie utworu—wszystko to razem nadaje surowy i posępny charakter treści „Kretów,“ wyodrębniając tę powieść w sposób stanowczy z pośród znanego typu wodnisto-słodkawych i słodkawo-wodnistych opowiadań i romansideł współczesnych, które zresztą w pewnych sferach długo jeszcze zapewne cieszyć się będą w dalszym ciągu gorącem uznaniem, największą poczytnością i wpływem.

Lecz mimo tylu ponurych kart, widzimy w „Kretach“ i obrazy jaśniejsze, a przytem ciosy i klęski, spadające na głowy pracowników kopalni, nie zawsze są nieuniknione i konieczne. Usunięcie ich lub zmniejszenie zależy w pewnej mierze od samego człowieka; można ich nawet uniknąć zupełnie przy szczęśliwym zbiegu okoliczności. Bohaterowie „Kretów“ giną, ale do końca niemal krzepić się mogą myślą o lepszej przyszłości. Piorun, pozbawiający ich życia, sprowadzający kalectwo i rany, uderza w nich zwykle niespodziewanie i najczęściej zabija odrazu, nie odbierając powoli, stopniowo, energii, sił i zdrowia. Przy wejściu do szybu nie wita ich napis dantejski: „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją.“

Inaczej w hucie cynkowej. „Tu — mówi autor w pierwszym rozdziale „Hutnika“ — niema żadnych wyjątków, żadnej ulgi, żadnego prześlepienia.. Kto w trepkach drewnianych, w szarej bluzie robotniczej stanął przy trójbarwnem świetle, tego otulił powiewny, nieubłagany, bezlitosny anioł smutku i choroby, którego skrzydła mieniły się jednak ponętnemi barwami, zapożyczonemi z najwspanialszych kwiatów. Te trzy piękne, barwne płomienie, ożywione drgającem życiem ognia, niosły hutnikom ciężką, przewlekłą, bolesną chorobę. I hutnicy czuli bezwiednie, że ta hala, to ich życie i ich śmierć, że żywiąc jedną ręką, drugą podawała im truciznę... Jej wonią przesiąkły ich włosy, odzież, wszystkie ich zmysły czuły to nieustanne sąsiedztwo powolnej, nieuniknionej śmierci.“

Charakter zajęcia, zatruwającego stopniowo organizm i wywołującego w nim z biegiem czasu rozwój specyalnej a nieuniknionej „choroby hutnickiej," odbić się musiał na usposobieniu pracowników, wyrażając się przedewszystkiem w braku ochoty do rozmów, gwaru, wesołości, nadając im niezatartą cechę przygnębienia i smutku. Charakter odtwarzanego środowiska nie mógł pozostać bez wpływu na autora, który w „Hutniku" celowo niemal gromadzi ciemne barwy na palecie i zamyka oczy na wszelkie objawy jaśniejsze.

Nie chodzi nam tu o ponure obrazy, rozpoczynające i kończące opowiadanie. W pierwszym rozdziale silnymi rysami kreśli autor napad „choroby hutniczej," rzucającej na łoże boleści ojca kilkorga dzieci, pracowitego „sularza," Teofila Uracza. W ostatnim — odtwarza straszliwe męczarnie przedśmiertne nieszczęśliwego hutnika, dając zarazem poczucie ich potęgi i ciągłości w krótkiej, ale wymownej scenie, gdy do izby, gdzie umiera stary Uracz, wprowadzają słaniającego się jego syna, Jędrka w pierwszym ataku zatrucia cynkowego. Stary sularz umrze, ale synowi razem z zajęciem przekaże w smutnej spuściznie wszystkie przebyte męki i cierpienia. Wytknięta droga—i jeszcze za życia ojca młody chłopak zdążył zrobić na niej krok pierwszy, decydujący. W łańcuchu boleści nie zabraknie żadnego ogniwa...

Ale nietylko choroba prześladuje w utworze p. Gruszeckiego nieszczęśliwą rodzinę Uracza. Ciosy spadają na niego, niby na nowożytnego Hioba. Jedna z córek ucieka z kochankiem, wychodzi za mąż wbrew woli rodziców i traci męża w rozpalonej stali, druga umiera zhańbiona, zawdzięczając litościwym gazom, które ją w porę ukołysały do snu wiecznego, obronę przed jeszcze większą hańbą. Jeden syn jest niewdzięcznikiem i niegodziwcem, drugi — ostatnia pociecha rodziców — zaczyna również okazywać skłonności niepożądane. Taki dobór barw ciemnych wydawać się musi nieco sztucznym lub przynajmniej uogólnić się nie da i rozciągnąć na cały stan, na całą klasę ludzi. Nie wypływa już to wszystko z rodzaju zajęcia, jako jego warunek nieodzowny; jest to tylko wzruszającym, wywołującym współczucie, może nawet prawdziwym, lecz w każdym razie noszącym cechy pewnej dowolności autorskiej, obrazem nieszczęść, prześladujących pojedynczą rodzinę hutniczą.

Obraz taki może wywierać wrażenie silne, gdy jest odpowiednio umotywowany, jak np. w niezrównanym „Ojcu zadżumionych" Słowackiego — żywiołową, nieposkromioną potęgą — zarazą, i gdy, naturalnie, idzie z nim w parze prawdziwe mistrzostwo słowa. W powieści p. Gruszeckiego nie widzimy żadnego z tych czynników i dlatego może daje się w niej uczuć pewien brak harmonii. Pragnęłoby się dla zrównoważenia nagromadzonych cieni wpuścić jakiś promień jaśniejszy. Przez chwilę zdaje nam się, że promieniem takim będzie miłość między młodziutką Zuzią Uraczanką a dwudziestopa-roletnim dozorcą pieców prażennych, Julianem Sojką. Miłość, jak zauważył autor, podobnie jak nienawiść, nie dba o tło i otoczenie. Szara, brunatna huta cynkowa, pokryta żużlami i popiołem, tworzącemi wokoło niej wysokie zwały, z rozpaloną ziemią, z halami, ziejącemi zatrutymi gazami i pyłami, z melancholią ludzi chorych, wyczekujących bolesnych lub śmiertelnych ataków nieuniknionej choroby — była tak dobrem, jak każde inne, miejscem dla rozwoju uczucia.

Uczucie to jednak, zrazu gorące i poetyczne, przybiera w dalszym ciągu zwykły kierunek. Po pierwszych wybuchach szału i dopięciu celu przez awansowanego z czasem na dozorcę Juliana, następuje z jego strony zobojętnienie, potem propozycya, uczyniona kochance, aby zrezygnowała z małżeństwa i poprzestała na roli gospodyni u pana dozorcy, a wreszcie porzucenie uwiedzionej dziewczyny, której jedną śmierć przychodzi z pomocą pewną. Wdzięczna sylwetka Zuzi należy w każdym razie do lepszych w powieści, a cała ta przygoda miłosna, ilustrując pewną stronę stosunków fabrycznych, dała zarazem sposobność autorowi do skreślenia kilku scen żywych, przyczyniających się bądź co bądź do urozmaicenia posępnego tła utworu.

Lecz jeśli chodzi o znaczenie społeczne „Hutnika," to szukać go nie będziemy ani w biobowych ciosach, spadających na głowę bohatera powieści, ani w nieszczęśliwem lub nieodpowiednio umieszczonem uczuciu jego córek. Ważniejsze o wiele są pod tym względem te karty utworu, w których autor odsłania przed nami ciężkie warunki pracy przy różnobarwnych ogniskach hutniczych lub inne nieznane szerszemu ogółowi strony życia tej warstwy pracowników, skazanych z góry przez sam rodzaj zajęcia na przedwczesny rozstrój organizmu, na cierpienia i zagładę. Przypomnimy tutaj przedewszystkiem zaznaczone przez autora odosobnienie hutników, ich zależność od warsztatu pracy, po za którym nie widzą oni dla siebie żadnego odpowiedniego zajęcia i żadnej możności egzystencyi; dalej stosunek do znienawidzonych „kretów"-górników i „gnojowników"-chłopów, oraz wysokie pojmowanie „honoru hutniczego," występujące np. w owem zdziwieniu, z jakiem stary dozorca Maciej Skutnik przyjmuje „zadawanie się" z chłopem starszej Uraczanki, pochodzącej „z takiej familii, z takiej dobrej familii hutniczej," lub w tej znamiennej przemowie Uracza, w której zapewnia on, że hutnik na cały świat największy robotnik. „Chłop, górnik, czy inny fach robi z gotowego, tylko my, hutnicy, z gliny, z galmanu dajemy cynk, jak srebro czysty. Zawdzą nam honoru i huzia na hutnika, jak się pokażo."

Jak widzimy, p. Gruszecki unika w najnowszych powieściach swoich szablonu i pospolitości, szuka dla nich treści świeżej i żywotnej, usilując rozszerzyć widnokręgi pojęć, myśli i uczuć, oraz zakres wiadomości swych czytelników nowemi, nieznanemi im lub mało znanemi stronami życia, których objawy zasługują z tego lub innego względu na podniesienie.

Uwaga powyższa obejmuje i świeżo wydany utwór powieściowy p. t. „W starym dworze," przenoszący czytelnika w zgoła odmienną, niemniej jednak ciekawą atmosferę, która zapanowała dzisiaj w niektórych odwiecznych gniazdach szlacheckich w gub. Kijowskiej i Podolskiej, po przejściu ich do właścicieli nowych. Poziomy, brutalny świat zbogaconych dorobkiewiczów w rodzaju starego Macieja Malcka i jego otoczenia najbliższego przeciwstawiony tu został niepraktyczności dawnych właścicieli.

Nad utworem tym nie będziemy już zatrzymywać się tu szczegółowo; zaznaczymy tylko, że i w nim odnaleźć można zasadnicze cechy talentu powieściopisarskiego p. Artura Gruszeckiego, a więc, obok zaznaczonej już skłonności do unikania ścieżek udeptanych, pewną jędrność pióra i siłę męzką w pojedynczych scenach, nie cofającą się tu i owdzie przed szczegółem jaskrawym, wstrząsającym, a dalej pewien polot epicki w ustępach znamienniejszych, wreszcie dokładność i szczegółowość opisów.

Subtelniejsze objawy uczuć, półcienie i półtony, nie dla każdego dostrzegalne porywy ducha i drgnienia serc tajemne— nie leżą, jak się zdaje, w naturze zdolności twórczych powieściopisarza naszego, który obrazy swoje maluje śmiałemi, wyraźnemi lecz niekiedy zbyt ciężkiemi i grubemi pociągnięciami pędzla. W każdym razie jednak nowe utwory Gruszeckiego świadczą pochlebnie o rozwoju talentu autora i są dla literatury naszej z wyszczególnionych wyżej względów nabytkiem cennym i pożądanym.

Władysław Bukowiński.

LITERATURA ANGIELSKA.

Aurora Leigh. — M. James Darmsteter: *Menage de poets*, 1998. — *The letters of E. B. Browning*, ed. by F. Kenyon, 1897.

Elżbieta Barret była córką Anglika i Kreolki. Ojciec poetki był plantatorem na Jamaice. Swe przyzwyczajenia despotyzmu przeniósł on do własnej rodziny: mając jedenaścioro dzieci, wymagał, żeby wszystkie pozostawały w bezżeństwie. Po za tem był dobrym ojcem. Owdowiawszy wcześnie, całkiem się poświęcił wychowaniu synów i córek. Najstarsza z pomiędzy nich, Elżbieta, była przedmiotem jego dumy. Nie mając jeszcze lat dwunastu, pisała wiersze dydaktyczne i rozpoczęła epopeę, którą on ogłosił drukiem. Nie miały zresztą żadnego powodzenia. Elżbieta była drobna, słabowita, prawie brzydka: twarz o rysach nieprawidłowych uszlachetniało tylko wysokie czoło myśliciela. Czytała klasyków bez wytchnienia; zwłaszcza Platon, Eschylos i Sofokles ją zachwycali. Studyowała także język hebrajski, była oczarowana marzeniami Kabały. Łącząc ją z systemem Platona, dumała nad istotą i jednością świata, nad panteizmem i mistycyzmem. Owocem tych dumań był poemat biblijny „Serafin," pełen anielskich zachwytów i prawie nieczytelny.

Dopiero w r. 1844, gdy miała już lat trzydzieści osiem, pojawił się tom jej poezyj lirycznych, które świadczyły o znacznym talencie i odrazu zdobyły powodzenie. W jednej z ballad, umieszczonych w tych „Poems," wyraziła ona swój zachwyt dla potężnej i szlachetnej energii Browninga. Poeta odpowiedział listem, który ją wprawił w zachwyt. Browning był uczniem duchowym Carlyle'a; ideałem jego była energia moralna i czyn. „Rób cokolwiek, pracuj, zmieniaj swe otoczenie, chociażby nawet drogą przestępstwa" — taką była jego dewiza. Ta energia dochodzi często do okrucieństwa i schyla się chętnie przed powodzeniem. Nic dziwnego, iż wywierał on czar potężny na duszę marzycielską i łagodną Elżbiety. W r. 1845 poznał ją osobiście. Miał on wtedy lat trzydzieści trzy, gdy ona blizko czterdzieści. Była wówczas chorą, nerwową, bojaźliwą, całkiem pogrążoną w mistycyzmie, a nadewszystko stroniącą od ludzi i świata. Ten energiczny atleta zdjęty był wielką litością na widok tej istoty drobnej, wątłej i skazanej na śmierć rychłą. Szybko się decydując, postanowił wyrwać ją z otchłani osamotnienia i zaraz w końcu pierwszej wizyty poprosił o jej rękę.

Podziwiać należy szlachetną energię tego człowieka, który pomimo wszystkich przeszkód wytrwał i dopiął celu. A przeszkód było co niemiara. Naprzód Elżbieta obawiała się na nowo rozpocząć życie, gdy uważała już swoje za skończone. Następnie, ojciec jej słyszeć nie chciał o tym projekcie, który zmieniał wszystkie jego przyzwyczajenia i pozbawiał go gospodyni domu. Wreszcie sam Browning był ubogi i nie mógł jej zapewnić dobrobytu, w którym żyła od dzieciństwa. Należy dodać, iż miał suchoty i chorobę mlecza pacierzowego.

Przez osiemnaście miesięcy Elżbieta zwlekała. Wreszcie uległa prośbom Browninga. W r. 1846 pobrali się tajemnie

i wyjechali do Włoch. Ojciec nigdy jej tego czynu wybaczyć nie chciał. Zamieszkali w Pizie. Życie ich było prawdziwą sielanką. „Jakże nam tu dobrze — pisze ona. — Jestem nazbyt szczęśliwa, ja, która mą nigdy nie byłam. Co to za miasto spokojne, puste i zarazem tak mało smutne!.. Nie widzimy nikogo. Uczęszczamy tylko do *Duomo* i na *Campo Santo*." W tej samotni przygotowywali najlepsze swe dzieła. Wywarli pod tym względem wzajemnie na siebie wpływ zbawienny. Erudycya i realizm Browninga sprowadziły Elżbietę z obłoków na ziemię i uchyliły przed jej wzrokiem rąbek rzeczywistości. Ona znowu rozbudziła w jego naturze oschłego racyonalisty strony uczuciowości i poezyi. Z tej epoki pochodzą też dwa najlepsze ich dzieła. Browning, który przedtem był znany tylko jako autor nie zrozumiałego „Sordella," kroniki poetyckiej z początków wieków średnich, dał w r. 1855 swe arcydzieło „Men and Women," Elżbieta natomiast w r. 1856 — „Aurorę Leigh." „Men and Women" jest wyznaniem wiary zapamiętałego indywidualisty. Niechaj każdy będzie sobą i tylko sobą. Nie żądajmy, aby inni spoglądali na rzeczy naszemi oczyma. Każdy duch pod innym kątem odbija światło powszechne. Nie należy więc ani siebie poświęcać innym, ani też innych sobie. Być, myśleć, czynić, rosnąć, rozwijać się, takiem jest prawo ogarniające wszystkie istoty, rośliny, zwierzęta i ludzi. Tę teoryę potwierdzają wszyscy mężowie i kobiety Browninga, których on wybiera najchętniej w epoce Odrodzenia włoskiego. Ożywia ich potężną swą wyobraźnią, przenika subtelną analizą. Pisaliśmy już o dziełach Browninga kilkakrotnie, nie będziemy się wdawali w szczegóły, natomiast nad „Aurorą Leigh" musimy bliżej się zastanowić. Sama opowieść niewiele jest warta, gdyż niezręcznie zapożyczona w zakończeniu z Karoliny Bronti (*Jane Eyre*), a w charakterze bohatera z Hawthorney. Pomimo to „Aurora Leigh" jest bez wątpienia jednem z najpiękniejszych dzieł naszego wieku, które z biegiem czasu nabiera coraz większej doniosłości, porusza bowiem wszystkie zadania społeczne, jeszcze nierozstrzygnięte, chwili obecnej. Jest to prawdziwa spowiedź filozoficzna i artystyczna autorki. Sam wątek opowiadania odznacza się wielką prostotą: dwa umysły z początku niezgodne, pod wpływem doświadczeń życiowych dochodzą do wspólnych przekonań i wówczas nie stanowią już przeszkody do połączenia się serc.

Aurora nie znała matki, która jej umarła w dzieciństwie. Jest to „biedna iskra, oderwana od lampy gasnącej." Wychowano ją we Włoszech, na wsi, na łonie natury. Tak chciał jej ojciec, myśląc „że dzieci, pozbawione matki, potrzebują bardziej, niż inne, matki natury, gdyż białe kozy Pana o wymionach ciepłych i pełnych mistycznych kontemplacyj karmią sieroty odstawione od piersi." Zrobił z niej w ten sposób marzycielkę, wsłuchaną w głosy natury, w szmery nieskończoności. Samotne to wychowanie pozostawiło w niej ślady na życie całe. Mistyczne kontemplacye przyzwyczaiły jej umysł do niezatrzymywania się na „pozorach" rzeczy. Formy zewnętrzne jej nie wystarczają, we wszystkiem szuka stron ukrytych, horyzontów duchowych, dokąd się wznosi na skrzydłach marzenia. „Miałam stosunki ze światem niewidzialnym" — powiada o swem dzieciństwie. Zaludniała morza, lasy, góry, które ją otaczały istotami mistycznemi, później w życiu szukała we wszystkich rzeczach symbolów. „Czuła słodki powiew, który przychodził do niej ze świata duchów." W trzynastym roku życia ojciec jej umarł. Przywieziono ją do Anglii. Jakże wszystko wydawało jej się tu ciemnem, smutnem. „Czyżby Shakespeare — wola — i jemu podobni wyczerpali całe światło Anglii?"

(D. n.)

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

BIBLIOGRAFIA. K. Estreicher: „Bibliografia polska," t. XVI, lit. E, F.

MEDYCYNA. Z. Kramsztyk: „Szkice krytyczne z zakresu medycyny" (362 str.). Zbiór artykułów, drukowanych w pismach lekarskich.

— Prof. O. Bujwid: „Memoryał w sprawie zapobiegania rozszerzaniu się gruźlicy w szczególności za pośrednictwem mleka i mięsa zwierząt gruźliczych" (15 str.). Kraków.

POWIEŚCI. K. Hofmanowa: „Krystyna," dodatek *Gazety Polskiej*.

— H. Sienkiewicz: „Quo vadis," dla dojrzalszej młodzieży ułożył i objaśnił R. A. Bobin, z rycinami (498 str.). Gebethner i Wolff.

— K. Dickens: „Wspomnienia sieroty" (Dawid Copperfield), powieść opracowana dla młodzieży, wyd. II (366 str.). Gurānowski.

KALENDARZE L. Ćwierciakiewiczowa: „Kolęda dla gospodyń" na r. 1899.

— B. Rouczewski: „Kalendarz myśliwski" na rok 1899.

POEZYE

Cisza wieczorna do Stawu Smreczyńskiego.

Po zboczu skał, po turni żlebie
Rozmiłowana mknę do ciebie —
Nęci mnie twoje oko pawie,
Błękit twych wód, Smreczyński Stawie.

Z przepaści ludzkich dusz przychodzę,
Zabieram kwiatów woń po drodze
I ćmą zwiewną i pajęczą
Wieszam się po nad gór przełęczą.

Owijam Bystrej czarną głowę,
Otulam świeże pnie smrekowe
I, tchnieniem wiatru potrącona,
Opadam w senne twe ramiona.

Nawiewam mgły różnowłose,
Omdlałość wielką, senność niosę,
Spijam twe wody srebrniejące,
A ust i piersi mam tysiące.

Z za kop, z za rdzawej skał przełęczy
Niebo się zdala do mnie wdzięczy,
Rąbek za rąbkiem się odchyla:
Modre, ponsowe, srebrne, lila.

Próżno! Do ciebie mknę, jedyny!
Na traw twych drżące seledyny,
Na twych burzanów krwawe kuszcze,
I aż na śmierć cię nie opuszczę!..

O czem ty marzysz? O orkanie?
Na cóż ci wichrów halnych granie?
Na cóż skry, gromy i poświsty,
Mój ty błękitny, przezroczysty!

Śpij, mój ty piękny! Jak zadrzemiesz,
Będzie cię orał wiatru lemiesz,
A ja siać będę słodkie ziarno
W twoich strumieni głębę czarną.

Kołysać będę je miłośnie,
Baśnie im szemrać, a o wiośnie
Przecudne lilie ci zakwitną
Nad wód roztoczą aksamitną...

Spójrz, jak mi piersi białe dyszą...
Czy ty mnie kochasz?... Jestem ciszą...
Spójrz, jak się złote cienie roją...
Czy mnie pożądasz?... Jestem twoją...

Twoją do śmierci. Nic nie spłoszy
Omdlewających drgnień rozkoszy...
Takiej kochanki i miłości...
Człowiek ci nawet pozazdrości...

Władysław Sterling.

Zakopane.

W DALI.

Kielce. Od kilku miesięcy panuje w Kielcach gorączka spekulacyjna w handlu placami i domami, których cena szybko idzie w górę. Place, nabywane przed laty trzema za 1,000 i 1,500 rb., zmieniły już kilkakrotnie właścicieli, a mimo to są wciąż przedmiotem nowych tranzakcyj za cenę 3,000 do 5,000 rb. Oto co *Gazeta Kielecka* pisze: Właściciel placu przy alei, wiodącej do dworca kolejowego, grunt, kupiony za 1,000 rb., sprzedał za 3,000 rb. Drugi znowu kupił plac za 2,000 rb. a następnie sprzedał połowę za cenę przeszło 2,000 rb. Włościaninowi z Czarnowa za kawałek pola pod Cementownią, który kupił za 900 rb., zapłacono 4,000 rb. W ostatnim tygodniu właścicielowi kawałka gruntu z lichym domkiem, za który przed laty 12 zapłacił 750 rb., zapłacono 5,000 rb. Ceny domów w Kielcach idą również szybko w górę. Dom przy ul. Borzęckiej kupiono za 27,000 rb., drugi w rynku za 38,000 rb. Jednemu z właścicieli domów z placami frontowymi przy ul. Seminaryjnej dom, za który zapłacił 8,000 rb., chciano kupić już 18,000 rb., drugiemu za kamienicę jeszcze nieskończoną dawano o 2,000 rb. więcej, niż na budowę wydał. Z powodu spadku cen cegły, na rok przyszły zapowiadają jeszcze większe ożywienie ruchu budowlanego w Kielcach.

Wilno. Ogromnie się rozwinęły w mieście choroby epidemiczne, szczególnie szkarlatyna i ospa. Ta druga w wielu wypadkach jest śmiertelna i tak się szerzy gwałtownie, że musiano na Łukiszkach barak przeznaczyć wyłącznie dla dotkniętych tą chorobą. — Wystawa rolniczo-przemysłowa, wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, odbędzie się r. p. nie na wiosnę, lecz jesienią, mianowicie między 1 a 11 września. Okazało się bowiem, że wiosna pod wielu względami nie jest porą dogodną i korzystną. — Na porządku dziennym jest obecnie sprawa oświetlenia miasta elektrycznością kosztem pół miliona rubli z funduszów miejskich. — W początkach r. b. Tow. organizacyi kolonij poprawczych i przytułków rzemieślniczych otworzyło swoją działalność. Fundusz zasiłkowy, ofiarowany przez magistrat, wynosi dziś około 5,200 rb. Już 15 minęło od daty uchwalenia sprawy! Miasto obiecało na ten cel także grunt (1 dziesięcinę). Komitet miejski obecnie przystąpił do załatwienia tej sprawy. W skład tego organu wykonawczego wchodzą: Ant. hr. Tyszkiewicz, Mich. Węsławski, K. Falewicz, L. Szostakowski, J. Chomiński, Ad. Zmaczyński, W. Makowski, A. Doliński, A. Jarzembskij, W. Nickludow, M. Archangielskij, S. Walerstein.—D. 1 b. m. otwarto oddział Tow. technicznego, którego zadaniem głównem są sprawy miejscowych inżenierów rządowych. Prezesem został A. Friede, naczelnik kolei Poleskich; w spisie 32 osób, które się już przyłączyły do Tow. jest 4 Polaków, a w liczbie 21 osób założycieli dwu (Antonowicz i Januszewski).—Powstaje obecnie w Wilnie, z inicyatywy Tow. miejsk. wzaj. ubezpieczeń, straż ochotnicza. Tow. będzie działać i w okolicach miasta $1\frac{1}{2}$ wiorstowym promieniu. — Odbyła się pierwsza ogólna sesya oddziału Tow. pomologicznego pod przewodnictwem p. Winc. Montwiłła. Ze względu na brak środków, uchwalono wyjednać u miasta plac odpowiedni dla doświadczeń ogrodniczych. Postanowiono zebrać wiadomości o gatunkach drzew najbardziej rozpowszechnionych w miastach i powiatach. Wreszcie postanowiono wynaleźć sposoby wygubienia robactwa drzewnego i wyjednać zniżkę taryfową dla warzyw i owoców, tudzież wagonów oddzielnych dla eksportu. Dotąd — jak zaznacza korespondent *Kyr. Codz.* tylko krymscy handlarze owoców korzystają z wagonów własnych. Jest więc nadzieja, że ta gałąź gospodarstwa w gub. Wileńskiej produkcyjnie się podniesie. Teraz trzeba w jesieni przed mrozami wysyłać lepsze i gorsze owoce; drobni handlarze korzystają ze zgromadzenia szybko psującego się towaru i zniżają ceny. Tymczasem lepsze partye mogłyby być i zimą wysyłane, gdyby rozporządzało się specyalnymi wagonami.

Kijów. Zarząd kolei Południowo-Zachodnich upoważnił zawiadowców do zaprowadzenia witryn na stacyach, gdzie wytwórcy zboża będą mogli wystawiać próbki towaru sprzedażnego. Zawiadowcy mają być pośrednikami pomiędzy sprzedawcami a nabywcami, których informować będą o pochodzeniu i ilości towaru. Nabywcy, udającemu się na miejsce produkcyi, zawiadowca wręcza, odpowiedni blanket. W razie dokonania tranzakcyi, sprzedawca zawiadamia o tem pośrednika za pomocą adnotacyi na blankiecie, a przy odbiorze zboża przez kupca płaci mu wynagrodzenie za pośrednictwo. Zapłata wynosi przy sumie tranzakcyi od rb. 100 do 5,000—1%, od 5.000 do 50,000—½%, od 50,000 do 100,000—¼%. Połowę tej należności uiszcza nabywca. Naczelnicy stacyi nie są odpowiedzialni za niezgodność próbek wystawionych z towarem, za błędne szczegóły sprzedawcy co do ilości i pochodzenia zboża, ani za niedopełnienie wzajemnych zobowiązań przez którąkolwiek stronę. — Na kolejach Południowo-Zachodnich między stacyami: Kijów, Chwastów, Cwietkowo, Chrystynówka, Wapniarka, Słobódka, Oknica, Zmierzynka i Koziatyn krąży wagon — biblioteka, rozwożący książki abonentom — urzędnikom. Pierwsze dwa przejazdy biblioteki wędrownej ściągnęły 200 odbiorców. Rada zarządzająca kolei na poparcie tej czytelni wydała 500 rb. zapomogi.

Petersburg. *Syn. Otiecz.* poruszył sprawę konieczności przepisów wyraźnych, któreby zapewniły podstawy, prawne inicyatywie prywatnej w szkolnictwie. Dotychczasowe przychylne rozporządzenia administracyjne w tej mierze i poglądy sfer prawodawczych nie są jeszcze dostatecznie sformułowane. „Życie wyprzedziło ustawę i przepisy; rozstrzygnięcie zaś sprawy zasadniczej nie znalazło w nich jeszcze wyrazu pewnego. Tymczasem właśnie okoliczność ta wytwarza w praktyce szkopuł, o który rozbija się sprawa doniosła i nagląca. Dziś wszyscy odczuwają potrzebę uznania prawomocności inicyatywy prywatnej w zakresie oświaty mas ludowych, potrzebę zapewnienia tej inicyatywie podstaw jasnych, przepisów wyraźnych, określających granice działalności prywatnej i ułatwiających drogi jej urzeczywistniania. Bez tego warunku, przepisy regulujące inicyatywę prywatną, utrudniając jej objawy, zawsze będą i niejasne, i zanadto liczne, i ograniczające.“— Pisma zapewniają, iż wkrótce wprowadzona będzie reforma miar i wagi. Arszyn i funt pozostaną nadal. Co zaś do systemu metrycznego, będzie on dozwolony, jako warunkowy. Waga aptekarska w ciągu dwu lub trzech lat stanowczo ma być zamieniona na metryczną. — *Birż. Wied.* piszą: „W Białymstoku szedł późnym wieczorem Starą-Szosą kancelista marszałka szlachty powiatowego, Sawiński, razem ze swoim kolegą. W drodze spotkali oni patrol, złożony z trzech rewirowych i dwóch policyantów. Ostatni napadli na S. i zaczęli go bić. Obili mu piersi, głowę, boki tak, iż nie było na nim miejsca bez sińca. Kancelista zachorował i umarł. *Grod. Gub. Wied.* piszą, że wypadek ten sprawił w mieście popłoch, i że wszyscy powtarzają sobie szczegóły „na ucho.“ Izba sądowa uniewinniła policyantów, rewirowych zaś skazała na 2 lata rot aresztanckich. Z tego powodu *Gub. Wied.* czynią uwagę: Teraz nie ulega wątpliwości, że niektórzy policyanci istotnie umieją liczyć żebra spokojnych obywateli w ten sposób, iż po obrachunku wypada tylko położyć się do grobu. I tu, zresztą, nie będzie spokoju, wobec konieczności ekshumacyi i sprawdzenia wszystkiego, co za życia sprawdzonem być nie mogło.“ W r. z. w tymże Białymstoku policyanci znęcali się nad pokojówką i również dostali się za to do rot aresztanckich. Kary sądowo widocznie nie działają otrzeźwiająco na „niektórych“ policyantów. Bezpośrednia zwierzchność powinna ich oświecić co do zakresu władzy i obowiązków. Taż sama izba sądowa wileńska roztrząsała sprawę rewirowych Donzina, Bućki i Pleskaczewicza, którzy tak pobili jakiegoś człowieka, iż ten w areszcie powiesił się. D. i B. skazano za to na areszt policyjny dwumiesięczny. Publiczności wydał się ten wyrok zbyt łagodnym; znajomi podsądnych zbliżali się do nich i winszowali im. Istotnie, kara równała się niemal uniewinnieniu. Biorąc pod uwagę opinię miejską, policmajster białostocki zapewne uwolni ze służby tych rewirowych, w ostateczności bowiem otrzyma stosowne instrukcye od gubernatora.“

Odesa. Bar. Ginsburg założył we własnym majątku na Besarabii kolonie rolnicze dla Żydów. Obszar ogólny wynosi 500 dziesięcin, z których 400 rozdzielono po 20 dzies. dla każdej rodziny, resztę zaś przeznaczono na wspólne pastwiska i inne potrzeby. Do osady tej przyjmowani są głównie Żydzi, którzy ukończyli szkoły rolnicze, ogrodnictwa, kursy leśnictwa itd. Z osadnikami jest zawierana umowa, określająca ich prawa i obowiązki co do użytkowania ziemi i spłacania jej wartości w ratach. W ciągu pierwszych 4 lat koloniści są wolni od płacenia, po upływie zaś tego czasu są obowiązani spłacać dług w ratach półrocznych, wnoszonych z góry. Wysokość rat będzie ustanowiona w taki sposób, że w ciągu lat 28 dług się umorzy i osadnicy otrzymają tytuły własności. Muszą oni przez cały czas trwania umowy uprawiać ziemię sami, bez najemników i nie wolno im trudnić się handlem; sklepy w osadach utrzymywane będą przez chrześcian.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Liczba członków Pogotowia ratunkowego w Warszawie wynosiła w listopadzie 680. Do chwili obecnej udzielono pomocy w 4,065 wypadkach i przewieziono 122 chorych za opłatą.

— Katolickie Towarzystwo dobroczynności w Odesie otworzyło nową ochronę z kuchnią bezpłatną dla dzieci.

— *Nowoje Wr.* otrzymało następujący telegram z Odesy: „Prezydent miasta podał wniosek, ażeby umieścić tablicę pamiątkową na ścianie domu, w którym mieszkał Adam Mickiewicz.

— Władza orzekła, że odczyty i wykłady publiczne nie mogą być uważane za zabawy, a więc powinny być zwolnione od podatku na rzecz zakładów dobroczynnych.

Szkoły. Uniwersytet warszawski w obecnym roku akademickim liczy 1,037 studentów. Najwięcej na wydziale prawnym: 475, najmniej na historyczno-filologicznym: 32. Pod względem wyznania ogół studentów liczy: prawosławnych 203, katolików 624, ewangielików 43, żydów 165, orm.-katol 2.

— Ministeryum oświaty orzekło, że prawo zakładania i utrzymywania prywatnych szkół realnych z przywilejami rządowych zakładów naukowych, służy każdemu, z warunkiem, że dyrektorem szkoły będzie osoba, posiadająca wyższe wykształcenie i odpowiadająca wymaganiom moralnym. Co zaś do szkół realnych bez przywilejów zakładów rządowych, otwierać i utrzymywać je mogą osoby z wyższem wykształceniem.

— Ministeryum skarbu, celem rozwoju artystycznego przemysłu ludowego, urządza w okręgach ożywionych osobne szkoły artystyczne.

Sądy. W Maryampolu sąd rozstrzygnął sprawę b. leśniczego, Bazylego Osipowa i innych. Osipow był oskarżony o fałszywe zaświadczenie w sprawie wyrębu lasu, o dopuszczenie się fałszu w urzędowem zaświadczeniu, celem ukrycia nieprawidłowości poprzednich poświadczeń, o wyrąb gwoli korzyści osobistej i o roztrwonienie drzewa z lasu; wreszcie o wyłudzanie datków pieniężnych od różnych osób za mianowanie ich na leśników, tj. o przestępstwa, przewidziane w art. 354, 359, 362, 377 i 378 kod. kar. Dozorcę leśnego, Talewicza, oskarżono o nadużycia, fałszywe stemplowanie itd. Innych — o świadome ukrywanie roztrwonienia, dokonywanego przez Talewicza. Izba sądowa w d. 14 b. m. uniewinniła wszystkich oskarżonych, a natomiast uznała Osipowa winnym niedbalstwa w służbie i skazała go za to (z art. 351 k. kar.) na usunięcie z posady, lecz umorzyła tę karę z mocy Manifestu Najwyższego z d. 14 listopada 1894 r. Co zaś do Talewicza, Izba przypisała mu również winę niedbalstwa w służbie, a nadto ukrywania nadużyć; po zastosowaniu dwóch Najwyższych Manifestów z d. 14 listopada 1894 r. i 14 maja 1896 r: skazała go za to na wykluczenie ze służby. Nadto od Osipowa i Talewicza tytułem akcyi cywilnej zasądzono na rzecz skarbu 429 rb.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych zakazał sprzedaży pojedynczych numerów *Gońca łódzkiego.*

Wystawy i zjazdy. Towarzystwo hodowli ptactwa otrzymało pozwolenie na urządzenie w Petersburgu zjazdu międzynarodowego hodowli ptactwa w połączeniu z takąż wystawą.

— Jednocześnie z ogólno - państwową wystawą rzemiosł w Petersburgu odbędzie się pierwszy w państwie zjazd rzemieślniczy.

— Międzynarodowa wystawa ogrodnicza, w Petersburgu trwać ma od 17 do 27 maja r. p.

— Komitet organizacyjny XI zjazdu archeologów w Kijowie postanowił urządzić wystawę archeologiczną w r. p.

— Komitet dziesiątego zjazdu przyrodników i lekarzy w Kijowie uchwalił urządzić zjazd jedenasty w sierpniu 1901 r. w Warszawie, o ile uniwersytet miejscowy podejmie się wyjednać stosowne pozwolenie.

Przemysł i handel. Ogłoszono ustawę Towarzystwa kredytowego m. Częstochowy.

Zdrowie publiczne. Nareszcie głośne nawoływanie do reform szpitalnych zaczyna powoli wywierać wpływ. Oto rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie postanowiła we wszystkich szpitalach zaprowadzić zmianę w pożywieniu chorych. Koszt żywności wynosić będzie 18 kop. dziennie. Chorzy otrzymywać mają posiłek cztery razy dziennie; obiad ma być więcej urozmaicony: zamiast jednej zupy, lekarz ordynujący będzie miał do wyboru dwie zupy i bulion, zamiast jednego, dwa mięsa; wieczorem, zamiast herbaty, chorzy otrzymywać będą kaszę. Spis potraw będzie zastosowany do pory roku.

Katastrofy. D. 18 na kolei Terespolskiej między Łukowem a Międzyrzecem wykoleił się pociąg towarowy. Rozbiło się sześć wagonów, a szczątki ich zepsuły i zasypały oba tory. Przez całą dobę pociągi przechodziły ze znacznem opóźnieniem. Wypadku z ludźmi nie było.

— Z Symferopola telegrafują, iż między stacyami Melitopol i Michajłówka parowóz starł się z pociągiem roboczym. Jeden robotnik stracił życie, dziewięciu pokaleczonych.

— D. 20 b. m. na stacyi Radziwiłów kolei Wiedeńskiej wykoleił się pociąg towarowy, dążący z Sosnowic do Warszawy. Sześć wagonów rozbiło się.

— Między Charkowem a Petrowskiem w Gorłówce, skutkiem złego nastawienia zwrotnicy, rozbił się pociąg z rekrutami. Jeden podoficer zabity, dwaj rekruci z połamanemi nogami, trzech ciężko, wielu lekko poranionych, jeden konduktor poraniony.

— W Kronsztadzie podczas ładowania bomb zdarzył się wybuch. Straciło życie 10 żołnierzy, otrzymało rany 9-ciu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu M. B. w Ber. Ciekawa treść pracy J—a w sprawozdaniu Pańskiem nie ujawniła się. Nadto jego forma zewnętrzna jest bardzo daleką od wymagań naszego pisma.

Piotrowi w Żółk. Nie odpowiadamy listem, bo nie możemy odczytać Pańskiego adresu. Nadesłane są bez żadnej wartości.

A. H. Treścią tego dzieła jest fizyologia, psychologia, a po części i historya mowy.

Panu Józefowi Mosz. w Jarańsku. Żądane katalogi wysłane.

Panu dr. T. Nie ma tu żadnej tajemnicy, gdyż nakładcy lub drukarze obowiązani są zawiadamiać komitet cenzury o ilości wydanych egzemplarzy każdej książki lub numeru czasopisma.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 Декабря 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.